



ROK LIX

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

N 29-30

WARSZAWA, 24 LIPCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Samowychowanie wychowawcy jako warunek rozwoju osobowości dziecka — *Marja Hornowska*. Katolicka misja dla wychodźców polskich we Francji — *Dr. M. Czapska*. Zamiast radja — *M. B. Ł.* Z tęsknot literatury włoskiej — *Irena Kopszyńska*. Świat — Słońce — Trawa — Nad wodą — *Anna Słonczyńska*. Tajemnica wąwozu — *Z. Reutt-Witkowska*. Swoi — *Barbara Pietkiewiczówna*. Panna Kamilcia — *Cecylja Walewska*. Córka Boga (d. c.) — *Z. Zawłszanka*. Ze świata zwierzęcego. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatru. Dział praktyczny: Mody i roboty. Czepek z organdy. Motyw na poduszkę. Do kąpieli — *W. L.* W drogę — *W. D.* Polska współczesna. Jak myśleć w lecie o zimie — *J. S.* Wino agrestowe — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Rozwiązanie zadań z konkursu. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów. Tablica krojów.

## DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Polskie słowo drukowane, polskie książki i polskie pisma przechodziły w epoce niewoli przez tyle represyj, przez tyle burz, przez takie morze udręki i uciemżenia, że zdobyły najwyższą chyba odporność w znoszenia wszelkich trudności zewnętrznych.

Lecz oto cios wewnętrzny, który niespodziewanie spadł na nasze pismo, w sposób nad wyraz przykry i bolesny, wytrącił „Bluszcz” z normalnego biegu i rozwoju.

Strajk pracowników drukarskich był właśnie tym ciosem od wewnątrz. W epoce szerzącego się bezrobocia, gdy 1/3 zecerów nie ma pracy, zażądanie 25% podwyżki wywołało ciężkie przesilenie w polskim przemyśle drukarskim i odbiło się groźnym echem w życiu naszego pisma.

„Bluszcz” pokona i tą jeszcze jedną trudność, która piętrzy się w tej chwili przed nami. Nie będziemy drukować naszego pisma poza granicami Polski, bo nie uważamy, by to była droga, na której się załatwia najcięższe nawet tarcia wewnętrzne, jednak musimy dziś odwołać się do trwałych nici sympatyj, które zawiązały się między pismem i jego czytelniczkami. Mamy głębokie przeświadczenie, że w momencie kryzysu Czytelniczki „Bluszcza” przyjdą nam z pomocą, że ułatwią przetrwanie ciężkiej próby i czynnym poparciem naszego pisma, dadzą dowód swej przyjaźni dla „Bluszcza”.

Nr. 29 i 30 „Bluszcza” wydajemy jako powiększony numer podwójny. Następne numery, choć wydawane w warunkach o wiele trudniejszych, niż dotychczasowe, wychodzić będą w zwykłych rozmiarach i w terminie.

Towarzystwo Wydawnicze

„BLUSZCZ”.

# SAMOWYCHOWANIE WYCHOWAWCY JAKO WARUNEK ROZWOJU OSOBOWOŚCI DZIECKA

Komunikat Polski, zgłoszony na Kongres Wychowania Moralnego, który miał odbyć się w maju r. b. w Rzymie.

To, że osobowość wychowawcy stanowi moment zasadniczy i bodaj że rozstrzygający w wychowaniu dziecka — nie jest prawdą nową, a pomimo to zachowuje swoją moc w pełni. Praktycznie zaś nie liczymy się z nią jeszcze dostatecznie i nie przypisujemy jej całej wagi, jaką posiada.

A jednakże wysiłki rodziców i wychowawców w zakresie kształtowania osobowości dziecka rozbijają się najczęściej nie o braki znawstwa teoretycznej pedagogii, t. j. o nieumiejętność fachową, lecz o głębszą rażę, która staje w poprzek tym wysiłkom. Jest nią wartość intelektualno-moralna, istotna tych rodziców i wychowawców, t. j. skala i kultura ich umysłowości oraz stopień wykształcenia, łącznie z moralnym charakterem woli i uczucia; ich odporność nerwowa, skojarzona ze stopniem opanowania wewnętrznego, wreszcie całkowity zestrój władz psychicznych, określający poziom ich dojrzałości duchowej. Słowem, to wszystko, co składa się na taką, a nie inną osobowość i co osobowość tę stanowi.

Gdy mowa o osobowości dziecka i o warunkach jej rozwoju, nie dość, że nie można pominąć osobowości wychowawcy, ale trzeba ją wysunąć na plan pierwszy, jako punkt skupienia troski najpoważniejszej, ze względu właśnie na silne uzależnienie, w jakim pozostaje ten rozwój od tej osobowości. Im mocniejszy, a czystszy jest charakter wychowawcy, im wyższy jest jego poziom moralny, tem rękojmią owocności jego pracy nad osobowością dziecka jest pełniejsza. Wszelkie zaś braki i niedostatki, czy to dotyczące umysłu, czy charakteru moralnego wychowawcy znajdują bez wątpienia niepożądany odpowiednik w umysłowości i w charakterze wychowawców.

Stąd wynika konieczność dla wychowawcy doskonalenia własnej osobowości i rozszerzania swojej skali umysłowo-moralnej przez uzupełnianie swoich braków i prostowanie błędów z jednej strony, przez pogłębianie swoich wartości moralnych z drugiej. Stąd także wysnuwa się logicznie przeświadczenie, że taka praca wychowawcy nad sobą musi stanowić integralną część pracy nad rozwojem i nad kształtowaniem osobowości dziecka, jako konieczne współdziałanie tej pracy.

Powiedzmy innemi słowy: na to, ażeby rozwój osobowości dziecka dokonywał się normalnie i skutecznie, trzeba aby jednocześnie odbywał się rozwój osobowości wychowawcy. Tenże, dbały o spełnienie zadania w stosunku do dziecka, musi pracę wychowawczą zdwoić pracą nad sobą, w celu osiągnięcia wyżyny intelektualno-moralnej, jakiej wymaga wszechstronny rozwój tego dziecka. A wyżyny tej bynajmniej lekceważyć nie można. Już na stopniu elementarnym pracy, o jakiej mowa, poziom jej musi być wysoki. Nie trzeba bowiem ani na chwilę zapominać, że każde następne pokolenie w stosunku do poprzedniego jest zasadniczo krokiem naprzód, i że dziecko, już w okresie pierwszego rozwoju, prześciga pod pewnym względem stojących poza niem rodziców. Dzieje się to siłą prawa ewolucji, które dorachowuje niejako rozwojowo nowej jednostce owe dwadzieścia (przeciętnie) lat, jakimi wyprzedza ona epokę swoich rodziców. Otóż rodzice i wychowawcy, nie chcąc znaleźć

się na stanowisku uwstecznienia rozwojowego w stosunku do dzieci, muszą dościgać ich rozwój własnym rozwojem w przyspieszonym tempie.

Wszystko, co dotyczy owego rozwoju i ulepszania własnej osobowości przez człowieka dorosłego (zarówno ze względu na powszechne prawo nieustającego postępu, jak i ze względu na sprostanie zadaniu kształtowania nowych osobowości) obejmujemy wyrazem samowychowanie. Tylko na drodze nieprzerwanego wychowania siebie, który to proces trwać musi przez całe życie, osiąga się możliwie pełny rozwój osobowości, i zdobywa się najszerszą skalę różnostronnych udoskonaleń, na jakie pozwalają wrodzone właściwości naszej psychiki.

Samowychowanie, jako wielkie zadanie terażniejszości, domaga się natarczywie aby je podjąć tak ze względu na osiągnięty już stopień uświadomienia psychologicznego u inteligentnych warstw społecznych, jak ze względu na brak tego uświadomienia u mas, oraz z ogólnych nakazów moralnych, płynących i od szczytów i od nizin moralnych.<sup>1)</sup>

Osobowość ludzka, którą rozumiemy jako moralną treść psychofizycznego indywiduum, narzucającą się naszej świadomości formą, odrębnie od innych skryształoną, jest i pozostanie najprzedniejszym tworzywem życia i najpiękniejszym jego bogactwem. Urabianie tej osobowości w myśl najwyższego prawa człowieka, jakim jest prawo wiecznego doskonalenia, stanowić będzie zawsze jądro i oś wychowania. Samowychowanie, jako dalsze ogniwo tej pracy, zdolne już oprzeć się na pogłębionej samowiedzy, z jednej strony wzmacniać będzie owo największe bogactwo życia, owo rodzime złoto, zakłute w surowej rudzie, rzucając na szalę życia społecznego coraz doskonalej urobione zeń formy, jako przeciwwaga szpetnych i brudnych form pozoru, błędu i kłamstwa — z drugiej — zaważy na kształtowaniu osobowości innych.

Ten punkt przedewszystkiem mając tu na uwadze, chcemy społeczny obowiązek samowychowania rozszerzyć na wielkie masy jednostek, t. j. postulat samowychowania uczynić postulatem powszechnym. Aby umocnić to żądanie i uprawnić je logicznie, musimy pojęciu wychowawcy nakreślić te granice, jakie ono ma w rzeczywistości, t. j. o wiele szersze niż te, jakie mu przyznał nałóg konwencjonalnego myślenia.

Mówiąc: wychowawca, zwłaszcza gdy chodzi o rozwój osobowości nieletnich, nie możemy mieć na myśli wyłącznie rodziców i nauczycielstwa, albowiem urabianie tej osobowości dzieje się pod wpływem wychowawczym o wiele szerszego kręgu osób. Wszyscy ci, z którymi dziecko styka się w sposób czy to bezpośredni czy pośredni — dorzucają swoje wpływy różnowartościowe, oddziaływując na kształtowanie się jego osobowości, a więc stając się poniekąd jej wychowawcą, bodaj częściowym. Urabianie się osobowości wogóle dokonywa się przez przyjmowanie wielostronnych wpływów, prądów i kierunków moralnych, idących od wielkich zbiorników tychże, jakimi są lite-

<sup>1)</sup> Wyjaśnienie. Od szczytów moralnych idą wieczne nakazy podnoszenia osobowości ludzkiej do tej miary, jaką potrafiły osiągnąć wysiłki najlepszych jednostek, od nizin moralnych idą te nakazy sposobem odwrotnym: nędzka i przestępstwo, istniejące wśród społeczeństw i piętnujące je piętnem niemocy oczyszczenia się z nich, wołają wielkim głosem o to oczyszczenie.

ratura i prasa, sztuki plastyczne i teatr, oraz wszelkie, formy życia społecznego, religijnego, politycznego. Dokonywa się ono przez selekcję tych wpływów i przetwarzanie ich w retoricę indywidualizmu przyrodzonego. Jednocześnie odbywa się proces wyładowywania owych wpływów surowych, albo już przetworzonych wokoło siebie. Wymiana taka dzieje się nie tylko między dorosłymi ludźmi, ale także między dorosłymi a nieletnimi. Dziecko, jako instrument wrażliwszy, czerpie pierwiastki różnej wartości z nasyconej niejakimi wpływami atmosfery. Z tego wynika, że wychowawcami osobowości dziecka są wszyscy ci, którzy do tej atmosfery dorzucają bądź elementy twórcze i prawe, bądź rozkładowe i kłamne, że zatem do rzędu wychowawców zaliczone być muszą osoby, które skądinąd nie mają nic wspólnego z wychowaniem i że niemal każdy człowiek dorosły spełnia rolę wychowawcy w stosunku do nieletnich, ponosząc jednocześnie odpowiedzialność, jaką ta rola za sobą pociąga. Odpowiedzialność prowadzi drogą logicznego jej wyobrażenia do oświetlenia silnym reflektorem osobowości własnej, w celu oświadczenia sobie, jaki stanowimy czynnik w rozwoju osobowości nieletnich i zdania sobie sprawy z reform, jakie mamy obowiązek przeprowadzić w sobie ze względu na tę osobowość.

Rozszerzywszy w ten sposób krąg wychowawców na szerokie masy jednostek, z których żadna prawie nie stoi poza obrębem udziału w kształtowaniu osobowości nieletnich, rozumiemy, że żądanie świadomego wychowywania siebie musi być powszechne.

Po tem krótko potraktowanym uzasadnieniu konieczności rozpowszechnienia pracy samowychowawczej na szeroki ogół ludzi ze względu na dobro osobowości nieletnich, przechodzę z kolei do wytknięcia kierunku tego samowychowania w liniach najogólniejszych. Sprawa bowiem tego kierunku jest złączona ze sprawą osobowości dziecka, równie jak tamta ścisłym węzłem zależności.

Dążeniem pracy wychowawczej nad nowym indywidualium, jak i pracy samowychowawczej nad własną osobowością, jest stworzyć najpełniejszą i możliwie najdoskonalej ukształtowaną psychofizycznie jaźń ludzką. Wchodzi w to równomierny rozwój umysłu i ducha obok zdrowego i odpornego organizmu, wchodzi usprawnienia fizyczne i psychiczne, których celem jest przygotowanie do życia i rozkwit uzdolnień, i t. d. To wszystko dokonywać się musi w duchu prawdy indywidualności jednostki, t. j. w charakterze zgodnym z wrodzoną osobowością indywidualium, z doprowadzeniem lub utrzymaniem przy tem, co określamy wyrazami: „być sobą“ — i z jednoczesnym podporządkowaniem moralnym prawom ogółu.

Ale tak ogólnikowo skreślone dążenie nie wystarczy, jako wytyczna kierunku samowychowania. Dla lepszego scharakteryzowania go, wybieram dwa momenty zasadniczego znaczenia, na które pragnę położyć nacisk szczególnie.

Granice rozwoju osobowości, a nawet linię rozwojową, zakreśla częściowo sama natura, uzależniając je od właściwości przyrodzonych, jakie indywidualium przynosi z sobą na świat. Sam rozwój osobowości jako taki jest funkcją poniekąd organiczną, dokonywującą się sposobem naturalnym, podobnym temu, w jaki dokonywa się wzrost fizyczny człowieka w miarę idących lat. Linja zaś tego rozwoju i kierunku jego biegu, mające także źródło swoje w organizmie, którego właściwości psychofizyczne rozstrzygają o nim zasadniczo, są wszakże zjawiskiem bardziej skomplikowanym przez to, że drogą rozumową docierają owe liczne wpływy, o jakich nadmieniałam, krzyżując się

w najrozmaitszy sposób i dając rezultaty, nieraz nieoczekiwane. Biorąc to w rachubę, musimy zasadniczo domagać się pewnych wytycznych w kierowaniu rozwojowej linii charakteru moralnego osobowości, t. j. tego, co stanowi o społecznej i życiowej wartości człowieka.

Jakże określimy kierunek dążenia moralnego i na co położymy nacisk przy kształtowaniu go?

O urabianiu woli, jako koniecznej podstawie i osi działania, mówi się i pisze bardzo wiele. Pamiętajmy jednakże, że jednostronne wyrabianie woli mocnej i nieugiętej, nie tylko nie jest rozstrzygnięciem co do moralnego charakteru osobnika, ale może stać się źródłem krzywd i szkód społecznych w rozległych granicach. Praca nad jej urobieniem i wzmocnieniem staje się wtedy pożyteczną, kiedy mamy wytknięty stały i określony kierunek, w jakim ta wola działać będzie. Wierna linja jej dążenia w kierunku dodatnim, nie wykrzywiona ani załamana, — oto co stanowi o prawdzie i dobru tej woli, oraz o wartości moralnej jednostki.

Zanimi określimy jednym zdaniem zasadniczy kierunek tej linii, trzeba tu podkreślić, jako rzecz nieulegającą zwątpieniu i przy której, jak przy sztandarze wszechludzkiej wiary, stać chcemy, że, zważywszy organiczne i nieprzerwane dążenie jestestw ludzkich we wszelkich zakresach życia stale i zawsze — ku lepszemu — można i trzeba nazwać kierunek powszechny i dążenie woli ludzkiej imieniem dobra i to pomimo całe morze zła i kłamu, jakie kotłuje się w świecie ludzkim i pomimo wieczną grę namiętności, jaka przeciwstawia się podniosłym dążeniom ducha. Walka dążeń przeciwnych, w świecie idei bywa często walką o odmienne formy pojęciowe lepszości, a spaczony i pojęcia tej lepszości oraz tego dobra, kształtujące się nieraz w formy zła — wynikają ze stanowiska moralnego, na jakim pozostaje indywidualium ludzkie i ze stosunku moralnego (będącego wpływem tego stanowiska) tego indywidualium do reszty świata ludzkiego, do zjawisk społecznych i indywidualnych oraz nawet do spraw własnych. Stanowisko to jest powszechnie egocentryczne, a zatem błędne moralnie i filozoficznie fałszywe. Z tego błędnego stanowiska wynika rozrost egoizmów jednostkowych oraz odpowiednie im pojęcia, wraz z dążeniem po linii tych egoizmów i w myśl ich interesów.

Egoizm jest stanem pierwotnym osobowości ludzkiej i, jako taki fałszem, nie jest. Na pierwotnym szczeblu rozwoju jest bowiem koniecznym środkiem ochronnym nieukształconej, a przez to nieodpornej i bezbronnej skądinąd jaźni, i stanowi naturalną samoobronę osobnika, zewsząd zagrożonego, a chcącego się utrzymać przy swoim prawie życia. To też zarówno dla człowieka dzikiego, jak dla człowieka-niemowlecia, które to stadja rozwojowe równoważą się, egoizm jest jednocześnie siłą ochronną i prawem, któremu musi się rzadzić. Ale prawo to ustaje z chwilą, kiedy człowiek dziki wchodzi w okres cywilizacji i z chwilą, kiedy człowiek-niemowleć wchodzi w okres dojrzałości. Jeden i drugi rozporządza już wówczas całym kompleksem sił ochronnych prawnospołecznych oraz indywidualnych, i egoizm jego stanu pierwotnego musi ulec zmianie, przetwarzając się w siłę, skierowaną ku pomnożeniu dobra własnego ze względów dobra ogólnego. Człowiek cywilizowany, który przechowuje swój egoizm w stadium pierwotnym człowieka dzikiego, i człowiek dojrzały, który utrzymuje swój egoizm dużego dziecka, skazuje się tem samym na pozostanie na niskim, wstecznym szczeblu rozwoju i na błędnym stanowisku moralnym. Rozwój bowiem jego osobowości domaga się postępu, t. j. porzucenia

stanowiska, jakie mu wyznaczył pierwotny jego egoizm, a prawo rozwoju żąda od niego stosunku do reszty świata, opartego o podstawy prawa moralnego równego dla wszystkich, a więc wyłączającego zasadę egocentryzmu teoretycznie i praktycznie.

Otóż jedno z wielkich zadań pracy nad rozwojem osobowości nieletnich i jednocześnie pracy samowychowawczej nad sobą, a także jedna z wytycznych dla tych prac — to zwalczanie egocentryzmu i wydobywanie zeń osobowości innych i własnej.

Jakiegoż stanowiska żądamy wzamian za pierwotne stanowisko egocentryczne, które wraz z rozwojem osobowości i wyższym stopniem kultury ustąpić musi?

Żądamy stanowiska nawskroś społecznego, opartego na głębokim wczuciu się w prawa istot innych, na ustosunkowaniu się mądrzem i sprawiedliwym do praw powszechnych i przyjęciu prawa miłości bliźniego, równego prawu miłości siebie. Miłość zaś siebie musi być zrozumiana nie jako ciasny egoizm, mający li tylko własny interes na względzie z podporządkowaniem mu interesów innych, ale jako zaprzeczenie egoizmu, rozumianego w potocznym znaczeniu tego wyrazu i jako odwrócenie stanowiska egocentrycznego.

Miłość siebie musi być oparta o prawdę dążenia do dobra własnego, nie z uszczerbkiem dobra powszechnego ale z jego przyrostem, a więc z uwzględnieniem tego dobra powszechnego na pierwszym miejscu, nie zaś odwrotnie i traktowaniem go jako dobro własne. Ta zmiana pojęć moralnych i stanowiska moralnego indywidualium do całości może dokonać się drogą pracy myśli i ducha, oraz wysiłków codziennych, ćwiczących wolę, kształcących charakter i podnoszących skalę uczuć, a więc tego wszystkiego, co obejmujemy wyrazem samowychowanie.

Aby to umożliwić, trzeba jaknajwcześniej rozpocząć wielką pracę kształcenia zdolności sympatyzowania, pozostających dotąd w powi-

jakach uśpienia, bo kształconych tylko przypadkowo i dorywczo, a nigdy świadomie i ciągle. Trzeba tę pracę ująć w pewną dyscyplinę stałą, nadając jej tę wagę, jaką posiada istotnie. Jestto ów drugi punkt, dotyczący kierunku wychowania osobowości zarówno jak samowychowania, stanowiący, mojem zdaniem, warunek kardynalny owocnego i dodatniego rozwoju osobowości nowych pokoleń.

Radykalne i bezkompromisowe wprowadzanie go w życie z dobrą wiarą w jego skuteczność zapewni duży rozrost osobowości w sensie dodatnim.

Kształceniu zdolności sympatyzowania należy się osobne studjum. Jestto dział wychowawczy nieuwzględniony ani dostatecznie wyzyskany, jestto zdolność nie pobudzana, a raczej zatłumiana świadomie i bezświadomie, jednak rokująca na przyszłość duże nadzieje. W ten dział wchodzi przede wszystkim całokształt stosunków osobnika do innych ludzi i ich spraw wewnętrznych i zewnętrznych, łączność uczuciowa z cierpieniem i radością ogółu i poszczególnych ludzi, żywość zainteresowań wszystkim, co dotyczy osobowości bliźnich, wniknięcie szczere i twórcze we wszystko, co ludzkie oraz czynne, spółpomoćne traktowanie otaczającego nas świata. Wchodzi tu także stosunek do całej przyrody zwierzęcej i roślinnej, do wszelkich przejawów piękna, wreszcie stosunek do zjawisk społecznych, ogólny rozrost zainteresowań i wraz z tem rozszerzenie skali pojęć i uczuć, — jednym słowem cała filozofia życiowa osobnika, chcącego żyć pełnem życiem fizyczno-zmysłowym i umysłowo-moralnem, cała kultura zmysłów, uczuć i ducha.

Poruszone przezemnie powyżej dwa punkty, jako postulaty wagi pierwszorzędnej, nie wyczerpują oczywiście wskazań samowychowawczych. Uważam je jednak za kamienie węgielne pracy dla dobra rozwoju osobowości i dlatego wysuwam je z pominięciem innych, także ważnych, ale na które w krótkim komunikacie niema miejsca.

28 marca 1926 r.

Marja Hornowska.

D-r MARJA CZAPSKA.

## KATOLICKA MISJA DLA WYCHODźCÓW POLSKICH WE FRANCJI.

Nic podobnego w innych krajach i w podobnych warunkach nie istnieje, bo też żaden inny kraj nie posiada takiej ilości wychodźców różnych narodowości i tak wielu Polaków.

Od czasów Wielkiej Emigracji istniała duchowna opieka dla Polaków przy kościele de l' Assomption, rue St. Honoré. Podjęli się jej naprzód księża Zmartwychwstańcy w osobach ks. Jełowickiego, Semeniński i Orpizewskiego, po tym ostatnim objął to stanowisko ks. prałat Postawka, a dopiero w 1921 r. przybył do Paryża, z polecenia biskupa Dalbora, ks. Szymbor.

Wzrastająca fala powojennej emigracji robotników polskich wymagała zajęcia się sprawą.

Ks. Szymbort, właściwy założyciel i rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji, wymógł od biskupów w Polsce, aby każdy z nich przysłał mu po 2 księży z każdej diecezji. Zastawszy 3 polskich księży we Francji, ma ich już 58. Liczba ta wzrasta odpowiednio do liczby wychodźców. Obecnie mamy we Francji 520 tys. Polaków-robotników (w samym Paryżu 17 tys.), ale nie koniec na tem. Ten kraj, któremu raczej grozi wyludnienie, niż przeludnienie, nie cierpi wskutek tego na bezrobocie i zgłasza dalsze zapotrzebowania na 750 tys. Polaków (400 tys. do rolnictwa, 350 tys. do hutnictwa i górnictwa). Francuskie komisje rekrutacyjne, rezydujące w Mysłowicach (Górny Śląsk)

i w Weycherowie (Pomorze), wybierają doborowy materiał ludzki: dobrych fachowców i zdrowych robotników. Najlepszy element pochodzi z przesiedlonych do Westfalii Poznańczyków, nietkniętych, zdaniem ks. Szymbora, destrukcyjnymi wpływami wojny i mogących pod każdym względem służyć za przykład innym.

Główne centra, w których się nagromadził element polski — to departamenty Pas de Calais i Nord (kopalnie, przemysł tekstylny) oraz Saône et Loire (fabryki metalurgiczne w Le Creuzot). W dwóch pierwszych Polacy stanowią 33½% całej ludności robotniczej. Element rolniczy rozsiany jest po trochu po całej Francji, rekrutuje się przeważnie z dawnych sezonowych robotników, udających się rok rocznie na kilka miesięcy do Prus; element to niespokojny, przesiąknięty nomadyjską tradycją, dążący stale, z powodem czy bez powodu, do zmiany i najmniej odpowiadający wymaganiom francuskich chlebobawców.

Polacy zajmują ilościowo drugie miejsce wśród robotników cudzoziemskich we Francji, pierwsze miejsce mają Włosi (800 tys.) po Polakach idą Hiszpanie, na czwartym miejscu stoją robotnicy z Flandrii. Rząd francuski popiera polską immigrację, przedsiębiorcy i fabrykanci chwala pracowitość Polaków i dają im pierwszeństwo przed innymi.

Odwiedziłam kilkakrotnie ks. Szymbora w jego mieszkaniu przy kościele de l' Assomption, które jest zarazem siedliskiem misji, kancelarią księdza Rektora i redakcją gazety „Polak we Francji“.

Uderzyła mnie piękna i mądra twarz księdza, przeświecona tą szczególną siłą i spokojem, które wspomagają ludzi, kierowanych duchem bożym. Badawcze, przenikliwe spojrzenie, sięgające do samej duszy, przy uśmiechu pełnym dobroci i mądrości.

Ks. Rektor Szymbor, pragnąc zachować swą niezależność wobec fabrykantów i przemysłowców, jest utrzymywany przez Rząd francuski, zaś właściciele fabryk i przedsiębiorstw zapewniają byt reszcie duchowieństwa i nauczycielstwa. Ulegając powojennemu prądowi odrodzenia uczuć religijnych w sferach inteligencji francuskiej, łożą fabrykanci chętnie i dobrowolnie na akcję społeczno-religijną na korzyść pracowników, zatrudnionych w ich warsztatach.

Ksiądz Szymbor podał mi między innymi jeden charakterystyczny szczegół: oto właściciel fabryk w Dourges (Pas de Calais), pan Weymel wyjeżdża rok rocznie z całą rodziną na miesiąc letnich wakacji do Lourdes, gdzie wszyscy pracują jako tragarze i posługacze chorych i kalek, napływających tłumnie do grotty cudownej Matki Boskiej.

— Robotnicy nasi, powiada ks. Rektor, oderwani od gruntu rodzinnego, garna się szczerze do tradycji polskich i katolickich, siły nauczycielskie w liczbie 83, niezawsze chętnie, muszą się do tych zadań stosować. Polacy dotychczas nie łączą się z Francuzami, trzymają się od nich zdaleka, bez wrogości, ale też i bez sympatii. Ks. Szymbor nie nalega na wzajemne przenikanie obu narodowości, twierdząc, że wpływ tutejszych robotników na naszych jest przeważnie ujemny; imponując im wyższym rozwojem cywilizacji, zarażają ich w pierwszej linii najbardziej anormalnym jej objawem, a mianowicie, systemem jednego lub najwyżej dwojga dzieci, oraz bezbożnym lub wolnomyślnym stosunkiem do obowiązków życiowych.

Na moje pytanie, dotyczące się tych rzesz polskich we Francji, odpowiedział mi ks. S., że nie wierzy w ich powrót do kraju, pomimo, że wszystkim przyświeca ta nadzieja, zrodzona z tęsknoty.

— W Polsce istnieje nadprodukcja ludności, powinniśmy dbać o eksport nadwyżki i o zapewnienie tej ludności lepszego bytu poza granicami kraju.

— Czy warto jednak w takim razie dbać o zachowanie ich polskości?

— Czemu nie, odparł ks. Rektor, jeżeli oni sami o to dbają? Prędzej czy później wrosną nasi robotnicy w nową ojczyznę, im dłużej jednak będą pamiętać o swoim pochodzeniu, im dłużej mowa i wiara będzie ich łączyła z krajem, tem lepiej dla Polski. Za kilkanaście lat młodzież nasza będzie mogła obejmować wyższe stanowiska, korzystać z czynnego i biernego prawa wyborców, grać może nawet pewną rolę w polityce, a wówczas Polska będzie mogła liczyć na szczerych sojuszników wśród obywateli obcego państwa.

Po zorganizowaniu nauczania (język polski, jako przedmiot dodatkowy w szkołach francuskich) i założeniu 8-miu ochron, pracuje obecnie ksiądz Szymbor nad stworzeniem opieki dla młodych dziewcząt i dla losem wydziedziczonych niemowląt.

W przędzalniach Lille pracuje około 3 tysięcy dziewcząt polskich w wieku od 14-tu do 22 lat, które codzień przybywają koleją na robotę z miejscowości, oddalonych o 30—40km.

Poziom moralny tej gromady jest rozpaczliwy, codzienne przejazdy, lub częściowe osiedlanie się w mieście zdala od rodziny, naraża je na najgorsze wpływy lub doszczętne zmarnowanie. Niewinnymi ofiarami tego stanu rzeczy są nieślubne dzieci, których zwykle czeka śmierć z ręki samej wyrodnej matki, lub jakiejś płatnej i niedbałej karmicielki.

W najbliższych czasach ma stanąć w Lille, przy żywym spółdziale dyrektora danych fabryk p. Roubet'a, internat dla kilkuset dziewcząt-robotnic pod opieką polskich Sióstr Miłosierdzia, w przyszłości zaś dom dla opuszczonych i pomimo woli na świat wydanych dzieci.

Należy z całego serca życzyć szczęścia w pracy podjętej przez Polską Misję Katolicką we Francji i schylić czoła przed niestrudzoną energią jej założyciela, kierowaną rozumem jego sercem.

\*\*

Boulevard Jourdan, na krańcach miasta. Wielkimi literami widnieje napis Centre d'Ebergement. Na ulicy stoją gromadki polskich robotników, w poczekalni widnieją polskie napisy, widzę dzieci, kobiety, tobołki, skrzynki — zaduch schroniska dla uchodźców w okresie wojennym.

„Centre“ założone przez rząd francuski dla robotników-cudzoziemców, pozostających chwilowo bez pracy, gości przeważnie Polaków; za 5 fr. dziennie mają tu oni nocleg i skromne pożywienie. Tutaj przewijają się ci wszyscy, których spotkała jakaś krzywda, których zawiodły siły fizyczne lub którzy lubią zmianę, znajdują tu też pewien typ owych wiecznych malcontentów, niedobry, rozkładowy element.

Zaznajamiam się wkrótce z losem lub biedą kilku z nich. Jednego oszukał Polak, pośrednik przedsiębiorcy Francuza, skradł wszystkie dokumenty 16 ludzi i nie wypłacił należności za 2 tyg. pracy, jeden z uszkodzowanych przybył do Paryża, by szukać tu ratunku, drugi nie wytrzymał ciężkiej pracy w warsztatach automobilowych; inni skarżą się na wyzysk przedsiębiorców, kilku z nich to owi „wedrowni“ rolnicy w poszukiwaniu pracy na wiosenne roboty polne.

Któryś z nich wyznaje mi, że „na fermie“, pracując od świtu do zmroku, zarobił roku zeszłego 3 tys. fr., które odesłał rodzicom do kraju, na przechowanie.

— Dlaczego? — pytam.

— Na powrót — odrzekł mi, jakby zdziwiony zapytaniem. — Przecie kiedyś się wróci do kraju, nikt z nas tu nie chce umierać...

Nie mogąc pomóc, ani nawet poradzić, opuściłam ich z żalem głębokim. Poczulałam, że mię z temi „obieżyświatami“ łączą jakieś niewidzialne nici, że rozumiem

ich wzrok, idący jakby z dalekich światów, a tak różny od spojrzenia Francuza, że mi jest bliska ich wiara i ich nadzieje.

Dziwna magia ziemi ojczyściej i spójnia tych wszystkich, którzy wzrosli na jej łonie.

Tajemnicze tęsknoty serc ludzkich!

Paryż, — czerwiec 1926 r.

## ZAMIAST RADJA.



Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a przeważnie już i w krajach europejskich, przy niezwykłym, jak na nasze stosunki, rozpowszechnianiu radia, stanowi ono potężny środek agitacyjny i propagandowy. Skorzystał z tej okoliczności wydział kobiecy w amerykańskim Departamencie Pracy, odpowiadającym naszemu Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej, i urządził jeszcze w zimie 1922/23 roku szereg pogadanek radiowych o pracy najemnej kobiet. Niechże w Polsce, z łamów „Bluszczu“ — pójdzie między czytelniczki pisma głos o pracy kobiet.

Powiecie, miłe czytelniczki, że „Bluszczy“ cały, od pierwszej do ostatniej stronicy, zawsze jest poświęcony sprawom pracy kobiet: pracy gospodyni domu, pracy wychowawczej i nauczycielskiej, uprawianym przez kobiety zawodom wyzwolonym i ich zajęciom literackim i naukowym, kwestji służby domowej. Brakuje tu jednak jednego ważnego ogniwa dla utworzenia łańcucha, oplatającego całe życie gospodarcze i społeczne. „Bluszczy“ czytują przeważnie kobiety ze sfer t. zw. inteligencji, to też ich praca i praca kobiet, bezpośrednio z nimi styczność mających, muszą zajmować miejsce naczelné. Lecz dobrze przytem jest sobie przypomnieć, że na milion osób zatrudnionych w przemyśle polskim, około trzydziestu procent stanowią kobiety i że odsetek ten w niektórych gałęziach, np. w przemyśle tytoniowym stanowi znaczną większość ogółu zatrudnionych, a w tak ważnym dla Polski włókiennictwie wynosi połowę pracujących. Każdy zaś, kto zna choć trochę wieś, powinienby zdawać sobie sprawę z ogromnego znaczenia, jakie posiada w rolnictwie praca nietylko gospodyni, lecz i najemnicy. Amerykańskie spisy zawodowe wykazują, że na 572 zawodów i zajęć, istniejących w Stanach Zjednoczonych, zaledwie w 35 niema zupełnie kobiet. Przypuszczam, że takie zestawienie u nas wykazałoby mniejsze rozpowszechnienie pracy kobiet. Śmiało jednakże twierdzić można, że poza hutnictwem, pracą w kopalniach pod ziemią, gdzie zatrudnianie kobiet wzbronione jest ustawowo we wszystkich krajach cywilizowanych, i wreszcie poza elektrowniami, niema ani jednej poważniejszej gałęzi przemysłu, w której kobiety nie pełniłyby przynajmniej czynności pomocniczych.

A jednak jakżeż mało wie ogół kobiet umysłowo pracujących o warunkach pracy i bytowania tych setek tysięcy i milionów najemnic z pracowni, fabryk i warsztatów! Jeżeli zaś, na wsi naprzykład, styka się bliżej z ich pracą, jak mało się nad nią zastanawia

i jakimi łatwemi ogólnikami zbywa potrzebę głębszego wnikięcia w te sprawy, w gruncie rzeczy dla wszystkich nas jednakie.

Często debatujemy nad szkodliwością przychodzenia do biura, biegania po lekcjach, albo wystawiania rekarek przy operacjach w okresach, kiedy fizjologiczne właściwości natury kobiecej wymagają spokoju i wytchnienia; natomiast ogólnie uważa się w tych samych okolicznościach za rzecz naturalną, a nawet, jak niektórzy twierdzą, „dla nich najzdrowszą“, gdy praczka stoi od świtu do późna w noc przy balii, lub z żelazkiem do prasowania, t. zw. maszynistka w szwalni szyje przez osiem godzin z rzędu na maszynie nożnej, a wiejska dziewucha przy strzyży owiec dłużej jeszcze stoi w rzece lub w stawie.

Żalimy się — i słusznie, zamało nawet się żalimy — na przeraźliwe nasze warunki mieszkaniowe. Na gnieźdzenie się po parę rodzin w jednym, kilkopokojowym mieszkaniu, na brak wygod i ciszy i tej odrobiny komfortu, który jest konieczny dla prawdziwego odpoczynku. Ale zejździe do sutereny w tej samej kamienicy, w której mieszkacie; przejdźcie się na dalsze ulice stolicy, zajrzyjcie do domostw na Ochocie i na krańcach Pragi; zobaczcie izbę, w której bytuje kilkanaście osób razem, dorosłych i dzieci, zdrowych i chorych, uczciwych i mętów społecznych, i postarajcie się zrozumieć, jak każda z tych gospodyń gotuje tam strawę, pierze, szyje, chowa dzieci i utrzymuje jakikolwiek porządek. A kiedy to pojmiecie, podzielicie się ze mną własnym ujęciem tej sprawy, która dla mnie nie przestaje być jedną z najboleśniejszych zagadek.

Rozstrząsamy teoretycznie sprawę, jak pogodzić obowiązki matki i gospodyni z pracą pozadomową; szarpiemy się w życiu te, dla których praca ta jest koniecznością, albo stała się niewzruszoną potrzebą duchową. Ale nie obchodzi nas, co robią i co jedzą dzieci naszej posługaczki, podczas jej całodziennej nieobecności, dzieci robotnicy, która ma męża-pijaka, musi zarobić na dom własnymi rękami i szczęśliwa się czuje już przez to, że „dostała się do roboty“, że ten zarobek stał się dla niej dostępny. Zapewne, te kobiety mają mniej subtelne pojęcia o wychowaniu niż my, nie uważają wcale za konieczne ciągle czuwać nad dziećmi. Ale dla każdego serca matczynego największym bólem jest widok własnego maleństwa, zamorzonego, brudnego i zanedbanego.

Zanim radio i inne środki nauczą nasze społeczeństwo, czem jest dla Polski praca robotnic fizycznych i jak one żyją, poszukamy skąpych, niestety, okrucich wiadomości o nich i podzielimy się temi wiadomościami z naszymi czytelniczkami.

M. B. Ł.



# Z TĘSKNOT I BUNTÓW LITERATURY WŁOSKIEJ.

## I.

### PRZED OBRAZEM MAGDALENY.

Słynni myśliciele, najslawniejsi poeci usiłują udowodnić i pokazać, że miłość — miłość dwa serca skuwająca ogniem silniejszym nad śmierć, lub trawiąca je pożarem silniejszym nad życie — odeszła z tego świata.

Istotnie, patrząc w dzieła sztuki, to najwierniejsze zwierciadło życia, trudno oprzeć się wrażeniu, że namiętność miłosna znacznie wystygła, a stygnąc, jednocześnie, zmierzchnięła i poszarzała w porównaniu choćby z okresem Romantyzmu, jaki nastąpił po rewolucji Francuskiej i cesarstwie Napoleona, kiedy to dusze całego pokolenia, porwane jakgdyby nawałnica, szybowwały w przyszłość, spalając się nakształt gwiazd spadających.

Dwa naczelnne pierwiastki materializmu — ciało i pieniądz stały się najcenniejszymi zarazem motywami miłości. Ale kult ciała przestał być kultem piękna, a pieniądz nie jest już dzisiaj ofiarą, paloną w kadzielnicy przed tronem królewskiej próżności, zmieniający się w stawkę spółzawodnictwa na polu drobnych zawodów, drobnych wygód i jeszcze drobniejszych triumfów. Był czas, gdy ludzie oblekali się w gesty arystokratyzmu; dziś wystarcza im pozór bogactwa. Jednostka w czasach naszych, do jakiegokolwiek zalicza się klasy, dba przede wszystkim o to, aby nie świecić ubóstwem w domu i poza domem. Kobiety rzekły się zaszczytu dam, za to wszystkie chcą być paniami. Tętno i dążność życia przemysłowego, jego założenia i cele, upowszechniając wszystko, jednocześnie wszystko pomniejszały. Czyżby więc wygasły w życiu naszym pobudki owych „wielkich, górnych rzeczy“, do których „śmiało się serce“ dawnych pokoleń? Czyżby w piersiach epoki naszej skonały płomienie wielkich namiętności? Czyżby udziałem naszym stać się miała odtąd owa — jak mówił Wyspiański — „skrzeczająca“ pospolitość, wciskająca się w usta i w oczy?

\*  
\*                      \*  
\*                      \*

Pytanie to, niemal spólcześnie z polskim poetą — postawił pokoleniu swemu wielki pisarz włoski: Alfred Oriani. Postawił je dwadzieścia lat temu, a więc jeszcze przed wojną światową. Wypadki, atoli, z wojną tą związane, a raczej burza uczuć, jakie się w niej wyładowały, ogrom przeżyć, jakie się w niej zawarły, dalekie od przewyższenia głosu Orianiego, słowom jego, przeciwnie, nadały moc, której się przedtem w nich nie domyślano. Rzekłbyś, że trzeba im było wtóru wielkich, światowych doświadczeń, wielkich, światowych wstrząśnień, aby zagrały pełnią swej wymowy.

Inaczej i mniej fortunnie od Wyspiańskiego wyposażony w środki ekspresji, Oriani, jako, przede wszystkim, myśliciel, historyk i zwiastun nowych wartości etycznych, potrzebował lat kilkunastu, aby podbić duszę swego narodu. Zwycięstwo przyszło dłań, jak dla tyłu duchów wybranych, dopiero po zgonie, ale być może dlatego właśnie przyszło bardziej stanowcze.

Pierwsze zbiorowe wydanie pism Alfreda Orianiego stało się we Włoszech aktem uroczystości naro-

dowej, w której we spólnym hołdzie dla znakomitego pisarza zjednoczyli się ludzie różnych obozów politycznych, społecznych i literackich. Każde z 22 dzieł, wydaniem tem objętych, poprzedzone zostało przedmową, niby daniną kwiecistą, które spólcześnie — tak wieloraka w swych objawach — myśl włoska składa swojemu Mistrzowi. „Oriani — rzekł Benito Mussolini — należy nietylko do swej rodzimej Romanji, która go wydała i która prochy jego przyjęła; i nietylko do swych ojczystych Włoch; imię jego przekracza granice kraju i staje się własnością Europy, która już dziś rozpoznaje w jego twórczości jeden z najwybitniejszych momentów ducha włoskiego w rozwoju ostatniego półwiecza... W okresie, gdy włoska świadomość narodowa obniżyła loty, gdy Garibaldi już nie żył, a Mazzini wydawał się nowym pokoleniom daleki, gdy ideologia pozytywizmu i materializmu triumfowała na wszystkich katedrach i na łamach wszystkich dzienników, w tym okresie Alfred Oriani rzucił ogółowi włoskiemu swój: „Bunt Ideału“, księgę, w której głos znalazły wszystkie nasze pytania i niepokoje, wszystkie udreki i nadzieje, wypowiedziane mową zwartą i tęgą, godną Tacyta, a zdolną sama przez się ufundować sławę pisarza“.

Ale nie same pytania, nie sam nurtujący w nich niepokój spokrewnia Orianiego z chwilą obecną i stawia myśl jego w ognisku spólczesnej myśli włoskiej. Oriani nietylko pytał, ale i szukał na pytania swe odpowiedzi. Nietylko odślaniał bole i niemoce epoki, ale próbował wskazać przeciw nim środki zaradcze, przede wszystkim zaś zgłębił ich istotę, dociec do ich źródeł. Ową to właśnie analizą, nie znającą litości i wskazaniami, czerpaniami z nieustraszonej odwagi, Oriani wrąbał się w duszę młodzieży, która, dorósłszy, poniosła w życie jego bunt i jego tęsknotę. Nie wszystkie, rzecz prosta, zagadnienia, podjęte przez mistrza, znajdują lub znajdują rozwiązanie, zgodne z jego wskazaniem; życie największych koryguje mistrzów. Błędy, jakie popełnił Oriani, szczególnie w ocenie kobiety, były błędami jego epoki; były haraczem, jaki nawet wybitny umysł opłaca swemu środowisku. Ale, nawet błędząc, Oriani wskazywał, jak należy łamać się z zagadnieniami, i to pozostanie jego niezaprzeczoną zasługą.

Biorąc w rozważaniach swych jednostkę ludzką za punkt wyjścia, stawiał ją jednocześnie u krańca spólcznego rozwoju, jako najwyższy cel ludzkości. W jednostce zaś uwydatnia przede wszystkim pierwiastek woli, jako zasadę rozwoju i dźwignię historii. Ogólny kierunek jego myśli nazwać możnaby „woluntaryzmem“, gdyby pokolenie nowoczesne nie kreowało dłań specjalnej nazwy „dynamizmu“, celem wyodrębnienia tego prądu od pesymistycznego woluntaryzmu Schopenhauera. Dynamizm — to słoneczna wiara w bezgraniczną potęgę twórczej woli człowieka; to — etyka heroizmu, to — rozwarte pole inicjatywy dla posłannictwa genjuszów, to — nepoleonizm w historii, mesjanizm w religji, prometeizm w poezji. To — Król-Duch w pochodzie ludzkości. Jeśli włoski zwracają się dzisiaj do pomników naszej poezji romantycznej, zaczynają tłumaczyć ją i komentować, to w zainteresowaniach tych oczywiście dopatrywać się można różnych pobudek. Ale poza wszystkimi innymi, tkwi w nich wpływ Orianiego: jego to pisma ucza Włochów czytać Mickiewicza i rozumieć Słowackiego.

ANNA SŁONCZYŃSKA.

## ŚWIAT.

Świat jest biały i niebieski, złoty i zielony:  
bo z powietrza, z nieba, z słońca, z roślin utworzony.

Świat jest zimny, chłodny, letni, ciepły i gorący:  
wskutek lodu — wiatru — wiosny — skwaru — lawy  
[wrzącej.

Świat orkiestrą jest trąb, skrzypiec, cyter, harf,  
[organów:  
przez muzykę burz, i cisz, i rzek, i dżdżów, i łanów.

Świat ma zapach siana, miodu, śniegu, gwiazd  
[nektarów:  
od oddechu łąk i lip, i wyżyn, i bezmiarów.

## SŁOŃCE.

Oto Słońce — największego Artysty największe  
[arcydzielo,

cud złoty, jak sen, a gorący, jak życie —  
wyszło na świat, rzuciło z siebie szarych chmur  
[okrycie,

i w całej swej oślepiającej nagości stanęło  
przed oczami wszystkich ludzi, pragnąc z nich nude  
[spłoszyć!

....A' oczy się zmrużyły, aby nie spłonąć — z rozkoszy.

## TRAWA.

Trawa zielona, trawa wysoka, trawa soczysta, trawa  
[rozgrzana,  
mokra od słońca, niby od wody lśniącej i wonnej, cieplej  
[i złotej —  
wiatru rękami lekko głaskana, wiatru grzebieniem  
[rozczesywana,  
raz po raz wzdryga się, jak od dreszczu, od tej  
[pieszczoty czy od spiekoty.

Zdźbła jej się łączą, zbijają, tłoczą, aż między niemi  
[przerw białość niknie —  
zileni, soku, blasku, i ruchu wszystkie dodają sobie  
[nawzajem,  
i są jak żywy zielony dywan, co chórem głosów ich  
[chyba krzyknie,  
gdy wkrótce lipca stopa pałaca deptać go będzie  
[swoim zwyczajem.

## NAD WODĄ.

Jaka woda jest ruchliwa — jaka jest gietka — jaka  
[jest lekka — jaka jest śliska —  
już zda się bliska i już ucieka, i znów jest bliska, i znów  
[daleka —

to — matowieje, gdy powiew wiatru smutkiem ją, niby  
[szalem, powleka,  
to — szal na sobie drze i na nowo uśmiechem srebrnych  
[ust swoich błyska.

Jaka jest szara — jaka jest tęczowa — jaka  
[monotonna — jaka różnorodna —  
raz mnie odpycha, raz mnie przyciąga, i znów odpycha.  
[i już znów mam.

Codzień uroki jej jaknajchciwiej wciąż spragnionemi  
[piję oczami  
i wiem, że nigdy, przez całe życie, wszystkich ich  
[wypić nie zdążę do dna...





BAJKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

## W A W Ō Z.



iecie, co głab, co mrok, co chłód?

Chłodny, bo mroczny, mroczny — bo głęboki wawóz nie przystraja się różną barwą kwiatów. Natomiast upada śnieg, i luty gość przychodzi czuć nad ciszą głązów.

Jeży się smok, siwy mróz, na białych podściółki, jakgdyby na czechle trumiennem przysiadł. Czasem wicher zajrzy do skalnego lochu. Szałem opętanych płasów nie zmoże zaspy: zadymki jeno wirem kręci, jęknie, bywa, jakgdyby się uzałił nad mrocznym chłodem wawozu... Wtem porwie się — i niemasz go. Żalose zostały kamienie pod śniegiem — w głębi, mroku i chłodzie.

Wawóz, podobny tysiącom innych rozpadlin...

Jest w rzędzie zwykłych, szarnych dni w roku dzień jeden, wielki, uroczysty dzień. Zna go każda brzózka, czekają nań korzonki ładażkiej trawy, czy leśnego ziela. Ruczaje łąkowe, stare, jak ziemia i niebo, zwa go Świętem Wiosny.

Ludzie narówni wiosnę świętują w miesiącu słowików i bzów, choć bez ogrodów miejskich pyłem znieważony, a gwar uczonej muzyki bożych ploszy śpiewaków.

Trawy i brzózki czczą wielkie święto w innej zgoła porze.

Kiedy ziemia tak cicha i biała, jak martwa kraina ugorów między państwami Snu i Śmierci, wtedy to przychodzi święty wieczór, wigilja uroczystego dnia.

A za wieczorem, co rozsunął tumany perłowe, nadchodzi Noc, pełna tajemniczych cudów: te śnią się czasem dzieciom we snach, podobnych baśniom. Jakich my, dorośli, nie opowiadaliśmy im.

Troi się świat śnieżny. Niebo skrywa wielkie obłoki, po śniegu sunie miękki odblask, zielenią zlekką grający.

Kładzie się blask w ciszę mrocznego wawozu. Kiedy przejdzie, budzi białe gwiazdeczki śniegu: wlatują, roją się na powietrzu, gdyby welon gęsty, pyłem tkany diamentowym.

Dziw! Oto na dnie wawozu wyzwolony świetleje krasą cudną kwiat: różany goździk lodowy. Wkoło już proszą się do życia nowe odrośle.

I dziw jeszcze! Miękki przezroczy poblask oświeca dna sąsiednich rozpadlin, które zdały się, jakoby wymarłe. Patrzmy! jako są żyzne, śniegiem zgłuszone zakamarki! Kwieć się wkrag pod ścianami urwisk najmisterniejsze kwiaty.

Minał blask. Świeże welony opadły znów całunem grobowym. Znowu mróz dławi radosną tajemnicę głębin.

Być może, myśli kto, nie doczekają głębie ni razu więcej błogosławionego rozkwitu nieświadomej mocy, po którym szeptą dzień cały głos w ziemi, głos kielków tych wszystkich, którym spieszo ku światłu...

Kto myśli tak, nie rozumie głosu. Powiada, bo kielków szept, jako tędy wysłannik przejechał był z Krain żywych wiecznie, Złotogrodzkich. A czemużby miał nie wrócić?

Śpi goździk lodowy: nie umarł. Pod śnieżną ochroną i w mroku otchłani zasnął.

Kto wie? — zmrożone zimnem i w Noc Wielką nie zbudza się kwiaty, radosna tajemnica głębin. Martwe po wiek zostaną wawozy, siedliska wicherów burzliwych, zawistną wyjących rozpaczą — a biały ciężar nowy stłoczy łona i tych grobów żyjących, gdzie kwitnie jeszcze zatajony cud?

A kto tak pyta, nic nie wie. A kto wiedzą mały, niech wiarą urośnie.



BARBARA PIĘTKIEWICZÓWNA.

Pamięci mego najdroższego brata.

## „S W O I”

„Swoi“ byli wytworem naszej wyobraźni dziecięcej, jak elfy, krasnoludki, olbrzymi są wytworem wyobraźni ludowej.

Nie byli jednak podobni ani do krasnoludków, ani do olbrzymów. Wyglądali, jak zwyczajni ludzie. Byli tylko od nich piękniejsi, doskonalsi i potężniejsi.

Byli tak piękni, jak nikt na świecie, jak to sobie wymarzyć mogliśmy. Ubierali się w najdroższe, najwspanialsze suknie, jakich również nikt na świecie nie ma i jakie mogliśmy wymyślić w naszych małych główkach.

Obmyślaniu tych strojów poświęcaliśmy nieraz dużo czasu. Pamiętam, jakeśmy zasiadali z niańką Hanusią w ciemnym pokoju, żeby swobodnie bawić się w „swoich“, i ona pomagała nam wymyślać dla nich różne suknie. Były to suknie, jakie mają tylko królowy i księżęta z baśni. Były cudowne: ze szczerego

srebra i złota, naszywane brylantami, perłami, koralami i drogiemi kamieniami, albo atlasowe i jedwabne, najczęściej ulubionego przez nas koloru, niebieskie lub różowe, w złote lub srebrne gwiazdy. Każdą nową suknię witaliśmy z największą radością.

Byliśmy ogromnie pożądlivi i chcieliśmy jaknajwięcej zagarnąć dla „swoich“, ponieważ oni byli n a s i, a więc prawie to samo, co my. Wszystko, czegobyśmy pragnęli dla siebie, „swoi“ posiadali. Mieli najwspanialsze wille, pałace, zamki, ogrody, konie, pojazdy, serwisy — i jedli zawsze dobre rzeczy.

Nie byli jednak naszymi dziećmi, chociaż wśród „swoich“ znajdowały się dzieci, jak również młodzież i starsi. Dziećmi naszymi były najczęściej lalki; musiały nas słuchać i całkowicie od nas zależeły. Od „swoich“ my raczej zależeliśmy, bardzo ich szanowaliśmy, a nawet bali się potrosze.

Nie dlatego, żeby mieli nam coś złego uczynić. Przeciwnie, „swoi“ byli strasznie dobrzy i nie mogliby wyrządzić krzywdy ani ludziom, ani sobie nawzajem. Posiadali wszystkie cnoty i ani jednej wady. Były to najrozumnniejsze i najszlachetniejsze istoty. Ale właśnie dlatego liczyliśmy się ogromnie z ich mniemaniem. Obawialiśmy się, żeby ich do siebie nie zrazić. Jeśliby popełnili coś złego, ogarniał nas niepokój, co „swoi“ na to powiedzą. Jeżeliśmy się sprzeciali, lub zanadto swawolili, żeby nas uśmierzyć, wystarczało, gdy ktoś z nas się odezwał: „Jesteś niegrzeczny, powiem „swoim“. Nieraz jakaś psota lub kłótnia w zarodku zamierała więcej przez wzgląd na „swoich“, niż z obawy przed gniewem rodziców.

Chcieliśmy pozostawać w zgodzie ze „swoimi“. Jeszcze dlatego, że byli oni silni. Mogli czynić, co się im podobało, miec, czego zapragnęli. Nic dla nich nie było niemożliwego. We wszystkim im się powodziło. Nigdy nie chorowali i nie umierali.

Słowem, były to istoty najszcześniejsze. Byli to ludzie — w ideale. Cokolwiek na świecie jest wadliwego, wymaga ulepszeń, tam, wśród „swoich“ znajdowało się bez zarzutu.

To też, choć czasem się ich obawialiśmy, żywiłiśmy jednak do nich ogromne zaufanie. Wiedzieliśmy, że jeżeli ludzie bywają źli, niesprawiedliwi, obłudni i mogliby nas skrzywdzić, — od „swoich“ nie doznalibyśmy nic złego. U nich znajdowaliśmy ucieczkę przed niebezpieczeństwem albo przykrością, grożąciami nam od świata, jak również ukojenia po każdym zatargu domowym, połączonym z niezawsze przyjemną interwencją starszych. Gdy byliśmy smutni, oni nas pocieszali; gdy się nam nudziło, oni nas bawili. Byli naszymi przyjaciółmi i opiekunami, naszymi stworzeniami i władcami zarazem. Byli tacy życzliwi, łagodni, weseli, zaeiszni, — tacy swoi!.. Czuliśmy się dobrze z temi dziećmi naszej wyobraźni.

Gdzie „swoi“ mieszkali? Ależ wszędzie. Właściwie możnaby spytać, gdzie nie mieszkali. Mogli przebywać, gdzie się im żywnie podobało, t. j. gdzie myśmy chcieli.

Oprócz tego, że mieli swój własny kraj w krainie fantazji, gdzie się znajdowały wszystkie ich skarby i cuda, przemieszkali jeszcze w najbardziej tajemniczych zakątkach ogrodu i lasu, w różnych kryjówkach domu, w pniach drzewnych, w kielichach kwiatów, w ścianie, w starych meblach, za szafami, za tualetą prababki, w szczelinach podłogi, a nawet w dziurce od klucza. Na każdym kroku mogliśmy ich znaleźć, byli zawsze blisko nas. Czuliśmy nad sobą ich skrzydła opiekuńcze. Nieraz w chwilach smutku albo przed zaśnięciem mieliśmy wrażenie, że „swoi“ pochylają się nad nami, biorą nas w ramiona, a ich dobre oczy patrzą na nas z miłością.

Mogliśmy ich wezwać, albo też pójść do nich. Wystarczyło tylko zastukać do ściany, lub uderzyć dzwonek i było się już u „swoich“, choćby nas widziano w pokoju, na tem samem miejscu, co przedtem. Potem się wracało w podobny sposób.

Ale jakże „swoi“, którzy wzrostem i wyglądem nie różnili się od ludzi, mogli mieszkać w szczelinie podłogi lub w dziurce od klucza? Wynikało to ztąd, że posiadali oni zdolność stawiania się duchami w razie potrzeby, a wówczas, byli bez-

cieleśni i niewidzialni i mogli przenikać z łatwością przez różne materje. Trzeba było w to wierzyć, jak również w to, że i my, obcując ze „swoimi“, stajemy się niewidzialni.

Najpierwszą, najważniejszą osobą wśród „swoich“ była Skorupka, królowna cudownej piękności, obdarzona niepospolitym rozumem i najszlachetniejszym sercem. Dla niej to głównie obmyślaliśmy z niańką najwspanialsze suknie. „Swoi“ uważali ją za swój skarb największy. Nie rządziła jednak sama państwem, gdyż miała licznych zastępców.

Zresztą „swoi“ byli tak doskonałymi istotami, że właściwie nie potrzebowali do życia żadnych instytucyj, istniejących na świecie: ani rodziny, ani państwa, ani rządu, bo rządzili się sami, ani wojska, bo wojen nie prowadzili.

Skorupka wiodła życie spokojne, swobodne i szczęśliwe pod opieką wiernego sługi i przyjaciela, Pokraki. Pokraka nie był żadnym potworem, chociaż wygląd jego pozostawał zawsze nieokreślony i zależał od wyobraźni każdego z nas. Mógł to być człowiek, albo też duży, poczciwy zwierz. To tylko pewne, że lepszego opiekuna dla Skorupki „swoi“ znaleźć nie mogli. Pokraka strzegł tak pilnie i wiernie swej pani, że nie czułaby się bezpieczniejsza w najwarowniejszym zamku, pod osłoną całej armji „swoich“. W jaki sposób to czynił, pozostawało dla nas tajemnicą. Wogóle do Skorupki dostać się było dosyć trudno. Ale nas przyjęłaby ona chętnie, tylko nie zawsze czuliśmy się godni tego zaszczytu.

Przytem nigdy się nie wiedziało napewno, gdzie Skorupka mieszkała. Może na końcu naszego lasu, może na początku sąsiedniego, a może jeszcze dalej. Ostatecznie zależało to odemnie, ponieważ ja ją stworzyłam w swej wyobraźni. Ale tylko wybrani mogli zasłużyć na szczęście oglądania Skorupki.

Jeżeli dłuższy czas panowała zgoda między mną i rodzeństwem, wówczas szliśmy w odwiedziny do Skorupki. Czasem, gdy mi zabrakło werwy i fantazji, taka wyprawa kończyła się na niczem i nie było Skorupki w domu, albo nie udało się odszukać jej schronienia. Ale, gdy byłam w dobrym humorze, prowadziłam „wybranych“ z nadzwyczajnymi ostrożnościami i ceremoniami do jakiegoś najbardziej tajemniczego i odległego zakątka w lesie, gdzie miał być przybytek Skorupki. I tam musieli wierzyć we wszystkie cuda, jakie roztaczałam nie przed ich oczami, lecz wyobraźnią.

Ale, jeśli potem harmonia między mną i rodzeństwem została zakłócona, wtedy wszystko odwoływałam. Cała historia z wizytą u Skorupki była złudzeniem, wymysłem, nieprawdą. Skorupka mieszka zupełnie gdzieś indziej; Skorupki tak łatwo widzieć nie można; Skorupka jest bardzo niedostępna. Ja tylko jedna znam do niej drogę, ale jej nie pokażę... chyba, jeżeli już nazawsze zapanuje zgoda między nami.

Drugą osobą po Skorupce były miły i piękny książę Berdzio. Jak Skorupka do mnie, tak on należał do mego brata. Jego to naprawdę trudno było znaleźć, bo ten pędziwiatr ciągle przebywał poza domem. To też nie próbowaliśmy nawet go odwiedzać. Czasem tylko ojciec spotykał go w lesie podczas swej przechadzki przy świetle księżycy.



— Widziałem Berdzia, — opowiadał. — Był w krótkim, aksamitnym płaszczyku i w również aksamitnym berecie ze wspianą kitą brylantową. Spotkałem go na polance koło zagajnika lipowego. Ukłonił mi się grzecznie, porozmawiał trochę i odszedł, bo gdzieś bardzo spieszył.

Ale najczęściej widział ojciec Berdzia zdaleka.

— Co to za urwis ten Berdzio! — mówił. — I znowu go spokałem. Pędził tak szybko, że tylko jego czerwony płaszczyk migał między drzewami. Od czasu do czasu przystawał za krzakiem i, wysuwając głowę, kiwał swą brylantową kitą, uśmiechał się do mnie przyjaźnie i zaraz biegł dalej. Widać znowu gdzieś spieszył.

Słuchaliśmy tych opowiadań z zachwytem. Naturalnie, żeśmy odrazu wszystkiemu wierzyli.

Czasem, podczas nocy księżycowych bywało niezwykle rojno i gwarno w lesie. Gdy nikt nie patrzył i nie słuchał, „swoi“ opuszczali swe kryjówki i swobodnie przechadzali się po całym lesie. Ale najczęściej ich było w „Szklanym domku“ i w „Salonie“. „Szklanym domkiem“ nazywaliśmy kwiecistą polankę, otoczoną białymi akacjami. A „Salon“ był to najpiękniejszy zakątek lasu, — niewielki zagajnik brzozy, gdzie, między zrzadka rosnącymi brzożami, słała się gładka i lśniąca trawa, po której można było tańczyć, jak po posadzce salonu. Młode, wysmukłe, srebrnokore brzożki wyglądały, niby panny w bieli, a stare brzożki o czarniawych pniach i długich, zwisłych warkoczach, niby poważne matrony, zdawały się przyglądać zabawie córek.

Kiedyś, w jasny, miesięczny wieczór majowy ojciec z wujem wrócili z lasu i, całując nas, leżących już w łózkach, na „dobranoc“, — rzekli:

— Widzieliśmy Berdzia ze Skorupką. Tańczyli na wielkim balu „swoich“ w „Salonie“. Przygrywały im cudowne gęśliki muszek, komarów i słowików, którym żaby w stawie wtórowały. A woda przy upuszczeniu na grobli śmiała się z radości i w srebrnych pianach spadała na dno jaru.

Pisnęliśmy na to z wielkiej uciechy i aż podrzuciliśmy koldry do góry. A potem zasypaliśmy ojca i wuja pytaniami: jak wyglądali Berdzio i Skorupka, jak tańczyli, czy co do nich mówili.

— Nic nie mówili, tak byli sobą zajęci. Nie widzieli nas zresztą, gdyż staliśmy ukryci za drzewem. Tańczyli tak lekko, że unosili się nad trawą i fruwali w powietrzu. Skorupka w swych powiewnych szatach wyglądała, niby mgła srebrzysta, a Berdzio był podobny do obłoku, przesyconego złotem i purpurą.

Jakież to musiało być piękne! Cały „Salon“ rozbrzmiewał muzyką, wesołymi okrzykami i szmerem sukni, powiewających w tańcu. I to wszystko przy świetle gwiazd i księżyca, który zapalał tysiączne blaski w brylantach rosy na liściach brzoż i krzewów. Aż malutkie dzieci „swoich“, śpiące w konwaliach w sąsiednim zagajniku lipowym, zbudzone światłem i wrzawą, wysuwały ciekawie główki z białych czareczek, albo wychylały się do połowy z szerokich pochew liści. Jakże żalowaliśmy, żeśmy tego nie widzieli!

Ale nadszedł czas, kiedy trzeba było porzucić dom rodzinny, ogród, las — i „swoich“.

Przenosiliśmy się do miasta. My, dzieci, wyjeżdżaliśmy smutne i zaleknione. Tu wszystko było dobrze nam znane, swoje i drogie, a tam... niewiadomo, co nas czekało w tem dużym, obcym mieście.

Po opuszczeniu miejsca rodzinnego, mieliśmy się zatrzymać chwilowo w niewielkiej osadzie, leżącej

przy kolei. Był tam duży bór sosnowy, jakiegośmy jeszcze nie widzieli. Zmrok zapadał, gdyśmy wjeżdżali do osady. Na niebie zapalały się gwiazdy. Droga prowadziła przez las. Powóz sunął z trudem i powoli po suchym, głębokim piasku, który szemrał pod naciskiem jego kół. Z obu stron drogi, za nami i przed nami stały sosny i, szumiąc cicho, ronili woń żywiczną. Ich korony, wznoszące się na szczycie pni nagich, sękatych, to smukłych i strzelistych, to rozrosłych i potężnych, chwiejąc się zlekka, wyglądały na jasnym tle nieba, jak czarne, kędzierzawe głowy jakichś olbrzymów. Zdawały się dotykać gwiazd. W głębi lasu, w szarym gęstym mroku spleciona sieć pni sosen, dębów, brzoż i krzewów rysowała się ciemniejszymi liniami, nabierając dziwacznych, fantastycznych kształtów. Miało to wygląd tajemniczy i trochę straszny. Zdawało się nam, że w tych głębiach leśnych czają się jakieś potwory z baśni, wilkoki, czarownice, karły, i przywabiają nas ramionami.

Ale wspomnienie baśni przywiodło nam także na myśl elfów, krasnoludków i — „swoich“. I odrazu stało się nam w duszy jasno, ciepło i pogodnie. Bo jeżeli tu mieszkają różne istoty fantastyczne, toć i „swoi“ tu być muszą. Kryją się pewno, swoim zwyczajem, po różnych zakątkach boru, i w tych pniach drzewnych i w krzewach pełno ich jest. Żeśmy tego wcześniej sobie nie uprzytomnili! Odrazu przestalibyśmy się bać. Ale teraz wiemy już, że gdziekolwiek się udamy, i „swoi“ za nami pójda i będą nas strzegli, bo oni stanowią nieodłączną część naszego światka dziecięcego.

W parę miesięcy później pociąg unosił nas w stronę wielkiego, gwarne, nieznanego miasta. Była już zima, i miękki, puszysty śnieg pokrywał lasy i pola. Patrzyliśmy przez mętne, wilgotne, jakgdyby zalazwione okna wagonu. W mroku zapadającym, na tle śnieżnej bieli i szarego nieba majaczyły kształty drzew, które miały jakiś posępny wygląd. Ich nagie, bezlistne, czarne konary wyciągały się w przestrzeń, niby czyjeś ramiona bezradne. Rodzice zasnęli, i w wagonie było ciemno. Jednak, choć serca nam ścisnęła smutek i niepokój, pocieszały się wiarą, że i tu, w tych drzewach, po drodze spotykanych, mieszkają „swoi“ i, przybywszy do celu podróży, i tam również ich zastaniemy.

Już nie pamiętam, jaki był początek „swoich“. Prawdopodobnie powstał oni pod wpływem legend i baśni, czytanych i opowiadanych. Łączyli przecież w sobie cechy duchów, świętych, krasnoludków, elfów, wrózek. Byli mieszaniną materializmu z idealizmem. Stworzyliśmy ich sobie na zabawę, pociechę, radę i przestrożę, podobnie, jak lud stwarza wszelkie istoty fantastyczne. I, jak lud, potrzebowaliśmy ich po to, żeby mieć kogo szanować, podziwiać, słuchać, kochać i obawiać się. Z początku byli jedną z naszych zabaw, potem stali się naszą wiarą. Co pierwiej było żartem i wymysłem, stało się później prawie dogmatem, w który trzeba było koniecznie wierzyć, jeżeli się chciało być dobrze widzianym przez nasz mały światek. Sobie nawzajem nie nakazywaliśmy tej wiary, gdyż przychodziła ona samorzutnie i błyskawicznie.

I ci wszechwładni „swoi“, to połączenie głupstwa z mądrością, prawdy i doskonałości z dziwactwem, — byli zarazem pierwszą naszą utopią.

Jednak, gdy po paru latach wróciliśmy z miasta do starego domu rodzinnego, spostrzegliśmy, że coś się w nas zmieniło.

Nie mogliśmy już tak niezachwianie wierzyć w „swoich“. Bliższe zetknięcie się ze światem, szara

rzeczywistość rozwiały wiele naszych snów i złudzeń. Byliśmy zresztą starsi, zpoważniliśmy pod wpływem wypadków, zaszłych w ciągu tego czasu. Umarła nasza siostrzyczka i „swoi“ temu nie przeszkodzili. Straciliśmy do nich zaufanie: nie byli więc tak wszechmocni, nie kochali nas tak, jakieśmy to sobie wyobrażali.

Teraz wiele rzeczy, tyjących się „swoich“, budziło tylko uśmiech, zamiast naiwnej wiary.

Próbowaliśmy odnowić nasze dawne, serdeczne stosunki ze „swoimi“, gdyż, pomimo wszystko, nie chcieliśmy im sprawić przykrości, ale teraz była to już tylko zabawa, która nas niebardzo zajmowała.

Nie odważaliśmy się jednak mówić ze sobą o zmianach, jakie w nas zaszły, i wyznać, że nie wierzymy w „swoich“.

Pozostawaliśmy jeszcze pod zbyt silnym wpływem dawnych zabaw i wmawiań, które nam tyle szczęścia dawały. Żalowaliśmy tej wiary najwcześniejszego dzieciństwa i przykro nam było się przyznać, żeśmy ją stracili. Przytem, nie mieliśmy pewności o sobie nawzajem, czy jedno w drugim nie naruszyłyby mocnej jeszcze wiary w „swoich“. Czu-

liśmy bezwiednie, że w takim razie zniszczylibyśmy coś pięknego i dobrego. Byłoby to tak, jakgdybyśmy w kawałki rozbili jakąś drogocenną i bardzo ulubioną czarę. Wreszcie, głęboko, na samym dnie duszy, kryły się jakieś strzępy dawnej obawy przed „swoimi“.

— — — — —  
Ale ja postanowiłam pewnego dnia spojrzeć oko w oko prawdzie.

— Jurku! — zawołałam do starszego brata tonem buntowniczym. — Nie wierzę już w „swoich“!

I zadrżałam ze strachu, ujrawszy jego oczy, zgorzzone i oburzone.

Zamilkłam i czekałam, co na to odpowie.

Ale on również milczał. I w głębi jego oczu ujrzałam coś, co mi wskazało, że i on przestał wierzyć w „swoich“.

— — — — —  
Ileż razy potem traciliśmy swe piękne i szlachetne wiary i złudzenia, które, po zetknięciu z nieugiętą rzeczywistością, osypwały się w naszej duszy, niby płatki zwiędłej róży, albo puchy ostów, przez wiatr zdmuchnięte.

CECYLJA WALEWSKA

## PANNA KAMILCIA

*Historja prawdziwa.*

3

Skłopotane były obie. Nie wiedziały, o czym mówić. Sprawy kowala nie chciała podejmować ani jedna, ani druga.

Kamilcia spytała o Stasinka, swojego siostrzeńca-chrześciana. Czy zdrow, czy grzeczny, czy nie pociemniały mu włoski i czy ją wspomina? — Wyjęła z szafy parę karmelków, które dostała od pani i dała dla niego.

Pani Walcia podziękowała i siedziała cichutko, rozglądając się dyskretnie po białej, jak sad wiśniowy, kuchni.

— Chcesz?... Pokażę ci całe mieszkanie.

Pani Walcia rzuciła wzrokiem trwożliwie w stronę drzwi do pokojów.

— Państwa niema. Zresztą, pani powiedziała, że bym swoich gości zawsze latem przyjmowała na balkonie, bo choć tym sposobem posiedzę na powietrzu. Pani każe mi codzień chodzić na spacer, ale niema czasu. Zanim pozmywam, sprzątnę po obiedzie, uczeszę się, umyję, włożę czystą bluzkę, już wieczór.

— Pani dba o ciebie, to ty powinnaś też dbać o państwa. Szanuj taki obowiązek. Nieprędko znajdziesz drugi podobny. Wiesz, jak ja się naponiewierałam, zanim wyszłam za męża...

Kamilcia sponsowała. Nie znosiła rad siostry, nie znosiła wyrazu obowiązek — w znaczeniu służby domowej. Drapał ją w uszach, kaleczył w mózgu, kłuł szpilkami po skórze, a jeszcze ani razu nie widziała siostry, żeby go w nią nie wrzuciła. Miała ochotę powiedzieć:

— Wynoś się razem z tym swoim „obowiązkiem“. Jeżeliś uciekła od niego do męża stelmacha,

który ci wystarcza, to wiedz, że ja uciekłabym za dziesiątą granicę od takiej, jak twoja, doli. Nasza krew w poniewierce u chłopca... Ty musisz znosić, żeby on przewodził nad toba...

Ale dała pokój. Ścięła usta, nic nie odpowiedziała i tylko, oprowadziwszy panią Walcię po pokojach — usiadła z nią na balkonie.

Znowu zachodziło pogodne słońce kwietniowe. Bielał kasztan samotny na obcym podwórku. Majaczyły akcje w dole, na chodniku pustej ulicy. Bawiły się dzieci przed zamkniętymi halami. Znowu — powoli — tworzył się wąż ludzki na całą noc, aż do południa, kiedy z piekarni miejskich przywieza chleb.

Panią Walcię zwolna ogarniał nastrój Kamilci. Same... we dwie... na tym balkonie, jak na skale nad przepaściami... Daleko za sobą „obowiązek“ — dymiąca kuchnia, warsztat, którego nie można się doczyścić, orka od świtu do nocy — mycie, sprzątanie i tylko jedna radość — Stasinek.

Pomyślały o nim obie naraz.

— Żeby on został, aby tak, jak teraz. Żeby nie zrobił mu się taki gruby kark, jak u ojca — powiedziała Kamilcia.

— Nie. On będzie podobny do naszej rodziny — odpowiedziała pani Walcia i pierwszy raz nie zlekka się tych swoich słów, bo gdyby mąż był, zarazby fuknął:

— Hrabianka... fummy... nie w smak jej chłopska gruba kość...

Myśli siostr już teraz zbiegły się i spływały jednym korytem. Obie usłyszały cichy, zajękły głos

ojca, który opowiadał o dziadku — powstańcu z 63 roku.

Walcia — starsza o lat dziesięć — pamiętała lepiej, wiedziała więcej. Była nawet kiedyś z matką i ojcem w majątku dziadka, zabranym przez moskali. Rozpostarł się w pałacu jakiś generał. Całe towarzystwo — panie, oficerowie jedli obiad na tarasie, gdy oni, jak złodzieje, przyczaili się zdaleka, żeby zobaczyć „swoją własność“.

— Byłabym wolała nie dożyć tej chwili — mówiła Walcia, a długie, rasowe palce jej spracowanych rąk kurczyły się, szlochając.

— I ból i wstyd... Matka siłą odciągnęła ojca, bo byłby padł na ziemię i płakał przy tych mochach — płakał, jak dziecko... Sam naparł się, żeby jechać... zobaczyć... ostatni raz w życiu... Sam zabrał nas, a potem — nie wytrzymał. Byliby nas kazali wyszczuć psami, jak złodziei, albo żebraków. Miałam wtedy dwanaście lat — pamiętam dobrze. Obie z matką poniosłyśmy prawie ojca do jakiegoś parowu. Za krzakami jarzyn nikt nas nie widział. Ojciec — myślałam, że umrze z płaczu. Matka uspakajała go, jak mogła. Dała mu trochę mleka z butelki, bo mieliśmy zapasy z sobą. Ułożyła go na trawie, wzięła głowę na kolana swoje. Zasnął — a wtedy opowiedziała mi raz jeszcze całą naszą historję, żebym dobrze zapamiętała i umiała powtórzyć młodszemu rodzeństwu, gdy jej już nie będzie.

Kamilcia patrzyła w nią suchemi, czarnemi od rozszerzonych źrenic oczami.

— Mów! — mów!

— Tak było. Dziadek przechowywał u siebie broń i powstańców. Pałac jego był punktem zbornym dla członków Rządu Narodowego, do którego sam należał. Chłopi zdradzili i kozacy którejś nocy cichaczem otoczyli pałac. Był wtedy, na szczęście, tylko dziadek i jakiś drugi powstańiec. Papiery — co ważniejsze — udało im się wrzucić do jakiejś skrytki w murze, o której wiedzieli oni sami tylko. Broń zdażyli schować nie wszystką. Część jej znaleziono. Wzięto wtedy dziadka i tego drugiego powstańca. Ciupasem odstawiono ich do więzienia. Pałac splądrowano. Z babką niewiadomo, co się stało. Trupa jej znaleziono kilka tygodni później w lesie. Ojciec nasz błąkał się od chaty do chaty, aż go jakiś pastuch doprowadził do najbliższego dworu. Tam coś się z nim zrobiło — sam nie pamiętam co. — Uciekł. Dwa lata chodził po wsiach bez głowy — szukał dziadka i babki. Nie rozumiał, co do niego mówiono. Nie odpowiadał na pytania. Pił tylko mleko prosto od krowy. Wszystko inne zdawało mu się zatrute. Rodzice naszej matki wzięli go wtedy do siebie. Żal im było tej hrabskiej krwi w poniewierce. — Matka nasza odrazu go pokochała. Miała wtedy 16 lat, a on 17. Pochodziła z drobnej szlachty. Ojciec jej był pisarzem gminnym. Jak zaczęła się opiekować „grafem-warjatem“ — te nazwę dano mu we wsi, — tak powoli, powoli wracał do rozumu. Chodziła z nim do lasu, nad rzekę, zrywała kwiaty. Aż i on nauczył się zrywać je z nią razem. Ganiała po drzewach za wiewiórkami. Aż i on zaczął robić to samo. Dawała mu nadgryzione przez siebie owoce. Aż powoli zaczął wszystko jeść z jej rąk i zupełnie oprzytomniał. Tylko już na zawsze został taki nerwowy, słabej woli i płakał, jak dziecko. Przez kilka lat pomagał ojcu naszej matki w kancelarii, a potem —

jak ten nasz drugi dziadek zachorował i umarł został na jego miejscu, ożenił się z naszą matką, która do końca życia opiekowała się nim, jak małym chłopcem.

— A z dziadkiem-powstańcem co się stało?...

Kamilcia wiedziała oddawna, że umarł na Syberji. Sto razy słyszała o tem z ust ojca i matki, ale jeszcze chciała potwierdzenia — teraz, kiedy zdawało się jej, że jakiś tajemniczy poseł od niego przyjdzie, wyzwoli ją i siostry jej z poniewierki, przywróci im wszystko dawne — tytuły, majątek.

— Ostatni list dziadka z Syberji ma jeszcze nasza najstarsza siostra. Pisał, żeby dowiedzieć się o stryju naszej babki we Francji, który był markizem, umarł bezdzietnie i zostawił duży majątek. Pytał ojciec adwokatów, ale — bez pieniędzy — nie chciał z nim nikt gadać.

Kamilcia słuchała, cała drżąc wewnątrz. Dziadek — hrabia zginął za Polskę. Pradziad — markiz... bogactwa we Francji... Tyle razy opowiadano jej to. Zbudzona ze snu najgłębszego byłaby umiała powtórzyć każde słowo. A jednak dziś — z ust siostry — schłopiałej Walci — uderzyła w nią, jak nigdy, potęga olśniewającej rzeczywistości — zjawy, która w tej chwili właśnie i nie inaczej, jak w tem miejscu, na tym balkonie — nad ulicą, jak nad przepaściami — przeżyć musiała.

To mówiła, to potwierdzała Walcia, która — zdawało się — już nie wierzy w te rzeczy — już nie pamięta... już może drwi, jak jej mąż...

Uczuła przedziwną jasność i wstąpienie w całej sobie, jakby z lewej na prawą stronę przeskoczyło jej serce i biło w same skronie. A ze skroni aż do palców każdej stopy przewalała się krew i falą powrotna tłukła o każdy nerw, o każdą więź mięśni. W nienazwanych, ciemnych głębiach wewnętrznej treści, jak na tarczy zegara, przesunęła się jakaś wskazówka, która chciała wysledzić pracę rozwagi, ale nie mogła, bo taki hyży i w sobie konieczny a niezrozumiały był ruch jej myśli, za którym szły jakieś poszepty i jakieś dwa, trzy nieuchwytnie, zapadające w niepamięć obrazy, że gubił się wysiłek woli.

Przyszło coś, co przyjść musiało — salwa, hasło, poseł tajemniczy... wielka przemiana... sobie samej niewiadoma odnowa... gęźba duszy, która czekała na łaskę tej chwili.

### III.

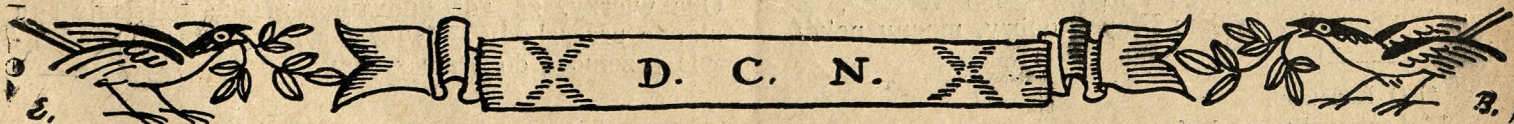
W nowem naszym mieszkaniu okna były bardzo wysokie, szyby ze szkła dziwnie przezroczystego, w które patrzyło tylko niebo, słońce, księżyc, gwiazdy, obłoki, sine chmury i kosmiczna tęsknica dróg mlecznych.

Wlepiąłem w nie oczy i oderwać ich nie mogłem, przyzwyczajona do małych szybek starego domu, w które zaglądały tylko gałęzie kasztanów z ogrodu naprzeciwko — zimą czarne beznadziejne biczyska.

Przed wejściem naszym w nowe progi tapicer po-przybił rolety, ale postanowiłam nie spuszczać ich, żeby — jak tylko oczy otworzę — patrzeć w niebo i dal kosmiczną.

Pierwsza noc na nowem mieszkaniu...

Przespałam ją twardo, bez majaczeń. Aż nad samem ranem szprnął mną jakiś łopot wewnętrzny, a równocześnie pod powieki spłynęło dziwne zwidzenie.



Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

24

## VIII. W sieci.

„Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach. I kazać w niebo iść ściętemu drzewu“...  
J. Słowacki.

Filip „Dobry“, książę Burgundji, był to „Francuz z pochodzenia, Flamand z wyboru, Anglik z wyrachowania.“\*) — Umiął gromadzić bogactwa i używać ich w sposób wyrafinowany; dwór jego był wzorem przepychu i świetności dla całej Europy. Te turnieje i uczty, „czarujące i bezczelne“,\*) przeszły do legendy — nigdy bowiem, ani przedtem ani potem, nie widziano takiego zbytku.

„Wielki książę Zachodu“ interesował się sztuką, gustował w księgach, popierał artystów — lecz w tem życiu intelektualno-zmysłowem, jakie stwarzał naokoło siebie, nie było idei żadnej. Brak mu było nawet szczerości! Ten brutal i rozkosznik mówi stale o pobożności i umiarkowaniu, z przekonaniem cytując Owidjusza, wtrąca dla ozdoby zdania z biblii... W gruncie rzeczy był to poganin, absolutnie niezdolny do pojmowania czegokolwiek, co wybiegało poza ziemię. W doskonałej zgodzie z Kościołem, otoczony zawsze pochlebstwami, uwielbieniem i zbytkiem najwyszukanyszczym — przez całe życie wybiera się niby na wyprawę krzyżową...

Jedyny cel jego ambicji: samodzielna korona burgundzka — zastępuje całkowicie wskaźnik moralny, wypełnia życie, uświęcając każdy środek, usuwając wszelkie skrupuły. Zarówno Anglja, jak Francja, są mu tylko narzędziami do tego celu. Przy ogniu ich odwiecznego, plemiennego sporu, spodziewa się on upiec swą dynastyczną pieczeń. Życząc niepowodzeń jednym i drugim, aby sam mógł korzystnie pośredniczyć, tem mniej objawia ochoty do jakiegokolwiek aljansu na serjo, im więcej wyczuwa jej z przeciwniej strony. Za to pasjami lubi przewlekłe układy, dyplomatyczne deklamacje, tymczasowe i przeważnie niedotrzymywane rozejmy. Ten system bowiem nie zobowiązywał go do niczego, a wiązał jednocześnie, choć w pewnym stopniu, przeciwnika.

Takim też sposobem postanowił Filip ubezwładnić koronowanego już króla Francji, wstrzymać dalszy jego zwycięski pochód. Zasypywany ofertami Anglji, uczyniony już prawie regentem i wielkorządcą Paryża — daje się wreszcie ubłagać i przybywa do stolicy, witany, jak wybawiciel. Tu — gdy Karol VII przyjmuje namaszczenie monarsze — on, równocześnie niemal, odnawia publicznie przysięgę zemsty na nim za śmierć ojca... Nie przeszkadza mu to bynajmniej, już w kilka dni później, wysłać pełnomocników swoich do Reims, dla prowadzenia układów...

Jak oceniała Joanna właściwą wartość tej zwodniczej gadaniny — to widać z drugiego jej listu do Filipa, wysłanego po koronacji, gdy jego poselstwo rozmawiało już z królem.

„Możny, a groźny panie, książę Burgundji! Joanna Dziewa wzywa was, z rozkazu Niebieskiego Króla, swojego prawego i najwyższego Władcy, iżbyście uczynili z królem Francji dobry, mocny pokój,

izby trwał długo. Opuśćcie jeden drugiemu ze szczyrego serca, w całości, jako rzetelnym chrześcijanom przystoi; a podoba się wam-li wojować — idźcie na Saracenów!

Książę burgundzki, proszę was, wzywam, zaklinam, jako napokorniej zdołę: nie walczcie już przeciwko świętemu królestwu Francji! Odwołajcie wrychle, przez zwłoki nijakiej, ludzi waszych, co dzierżą wiera grodów i twierdz onego królestwa. Co się tycze miłościwego króla Francji — rad on, byle cześć swoją ocalił, zawrzeć pokój — waszą wola niech ono stanowi.

I czynię wam wiadomo od Króla Niebios... dla dobra waszego i czci, a klnę się na żywot wasz, jako całe nie będziecie górą w boju przeciw cnym Francuzom: zaśię ci wszyscy, co wojują ze świętem królestwem Francji, wojują z Jezusem, Królem Nieba i wszego świata, moim prawowitym, a najwyższym Panem. Błagam was ze złożonemi rękami i nie wydawajcie nijakiej bitwy i poniechajcie walki z nami — wy i ludzie wasi i poddani...“

Cóż za drwiący uśmiech błąkać się musiał po pysznych wargach „Wielkiego Księcia Zachodu“, gdy czytał owe przestrogi natchnione. Nic dalszem mu być nie mogło nad tę gorącą prostotę, co je dyktowała..

To też Joanna przemawia doń wtedy po raz ostatni. Przejrzawszy bystro jego grę, nie da się nigdy zwieść nadziejami „burgundzkiego pokoju“, tumaniającemi niemal całą jej społeczność i przetnie te omawiania słowem jasnowidza:

— „Zda mi się, jako nie najdziem tu pokoju inak, niżli na ostrzu kopiji!“

Skończyły się już jednak czasy, gdy jej ulegano. Karol, ofiarowując ks. Filipowi dozgonną niepodległość na wszystkich dzierzonych ziemiach, jako podstawę pokoju, obiecując też uroczyste zadośćuczynienie za mord w Montereau — zawarł z nim, wbrew radom Dziewicy, rozejm 15-odniowy. Była to już upragniona przez Burgundję „dezorganizacja ofenzywy“\*\*).

— „Jeśli on rozejm zdzierzę — pisze Joanna, rozgoryczona, w jednym z ówczesnych listów swoich — to ino dla czci króla... Co się tycze Angielczyków, pokój jakiego nam trza, jest: izby szli precz do swojego kraju, do Angljej!“

Karol VII, uśpiony słodkimi słowy zdradzieckiego krewniaka, zapadał znowu w dawniejsze odrętwienie, które tak lubił. Ta kobieta, co go uczyniła naprawdę królem, „reprezentowała dlań ostatecznie obrzydły wysilek i zgiełk\*\*). Usiłując się wyrwać z pod jej wpływu, to znowu pociągany nim bezwolnie — cofa się zrazu ku Orleanowi, by potem zbliżać się znowu pod Paryż, ruchem wahającym.

Lecz i Anglicy unikają starcia. Miasta Laon, Soissons, Compiègne, później Beauvais i szereg innych, — spieszą wręczyć przez poselstwa klucze swe prawemu królowi. Wszystko to przemawia wielkim głosem za śmiałą koncepcją Joanny: za atakowaniem Paryża. Ona wierzy, że zdecydowane, mężne działanie i tużłamie przeszkody — wlecze więc gnuśny dwór prawie przemocą do bram stolicy.

\*) G. Hanotaux.

\*\*) Lavissee-Histoire de France.

\*\*\*) G. Hanotaux.

„— Wsadzi — ci ona króla do Paryża, chocia on o to nie stoi!“ — pisze Perceval de Cagny, kronikarz owych czasów.

A jednak czuje w nim potęgującą się nieufność — czuje wokół siebie to wszystko, co zwała „zdradą“ — nieuchwytnie, przyczajone w cieniu, jak hjena, łup wietrzająca. Ze wszystkich jej powiedzeń ówczesnych przebija żal, z trudem hamowany, ni to zdławiony szloch. Wjeżdżając do Crépy-en-Valois, 11-go sierpnia, wrzuszona żywiołowemi owacjami na cześć króla, rzekła do arcybiskupa de Chartres: — „Poćciwi to kmiecie! nie widziałach nigdy ludzi bardziej uradowanych z przybycia miłościwego króla... Oby Bóg dozwolił mi takowej doli, skoro dojdę do końca dni moich, iżbych mnie pogrzebiono w onej ziemi!“

— Na jakimem miejscu, o Joanno — zaciekał się arcybiskup — tuszysz żywota twego dokonać?

— Gdzie się spodoba Bogu; albowiem nie znam godziny, ni miejsca — nie więcej wiem od waszej wielbności. O, gdybyż się podobało memu Stwórcy, bych mogła ninie opuścić zbrojnych, i wrócić do ośca — macierzy, a strzec owiec ich, pospołu z siostrą i braćmi — radziż by oni mnie widzieli!

Niema w tych słowach nieszczerości, ni pozy, choć trudno uwierzyć, aby przejście od dowództwa armji do pasania trzody mogło być łatwem i miłym... Joanna była już bez wątpienia głęboko zżyta ze swem wojennym zadaniem, do którego zresztą predestynowały ją wrodzone zdolności i porywy; mimo to jednak nastroj tęsknoty za rodziną mógł ogarniać ją nieraz, zwłaszcza w owych smutnych czasach, bardzo silnie.

15-go sierpnia oba wojska stają naprzeciw siebie w okolicy Senlis (niedaleko Paryża). Lecz Anglicy, w sile 10 tysięcy, dobrze opalisdowani na mocnej pozycji — mimo wezwań Francuzów nie chcieli wcale wyjść do walki na otwarte pole, jak to było jeszcze wówczas powszechnym obyczajem. Daremnie sama

Joanna wyjeżdża śmiało przed ich linię, rozwijając sztandar swój, jako wyzwanie. Skończyło się tylko na harcach pojedynczych rycerzy. Już to jedno dowodzi, jak dalece osłabła u Anglików wiara we własną dzielność i szczęście wojenne.

Po tej nieudanej próbie rozprawy, odchodzą oni do Normandji, król zaś z wojskiem udaje się do Compiègne, gdzie go już oczekuje nowe poselstwo burgundzkie. Partja wojenna, grupująca się dokoła Joanny (książęta: d'Alençon, Bourbon, Vendôme, Bar, dwaj młodzi panowie de Laval, zapewne też La Hire i Jan Orleański) — niezadowolona z tego kroku, postanowiła działać na własną rękę.

23-go sierpnia, Dziewica po dawnemu rozstrzygnęła o porze i kierunku wyprawy, odzywając się do księcia d'Alençon:

— Piękne moje książę, zwołajcie owo starszych, niechaj sprawiąją szyki swoje: chce mi się obaczyć Paryż barziej zbliska, niżlich widziela!

Podczas gdy król podpisywał nowy rozejm, aż do Bożego Narodzenia, (nie obejmujący jednak okolic Paryża) — część jego wojska, z Joanną i księżętami na czele, była już w Saint-Denis; stąd codzien prawie staczano utarczki harcownicze u bram stolicy. Ta, świeżo umocniona, broniona głównie przez partję burgundzką, (choć w nieobecności Regenta i księcia Filipa) zdecydowana była na energiczny opór. Jednak wojska regularnego było w murach tylko 2 tysiące; pozatem oblegający liczyli na jakieś zamieszki wewnętrzne w decydującej chwili — bo i tu nie brakowało stronników króla, a niektórzy znosili się z nim stale, w tajemnicy. Naoczał jednak Paryż wierny był księciu Filipowi — o Joannie zaś mówiono tam sobie:

— Jakowyś stwór w kształcie kobiety trzyma z Armanjakami — co on zacz jest, Bogu jeno wiadomo!

(c. d. n.)



JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

## TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

2

Ale, powtarzam, te drogi odległe, drogi zawile ewolucji, co do nas wiodły, te drogi znać się powinno! Wskażą nam one może owe dalsze, co nas czekają, nas i te nieprzeliczone miliony istnień, co świat wypełniają.

W artykule niniejszym chciałbym czytelników zbliżyć do świata otaczających nas istnień, rozsunąć przed Wami zgłębione już tajniki życia tych istot, tak koło nas blisko żyjących, a tak nam dalekich, pokazać piękno i bogactwo ich organizacyj życiowych, uczuć, któ-

re je ożywiają, myśli, które nimi kierują. Pokazać, bodaj szkicowo, jak w miarę rozwoju tych istot i wznoszenia się ich po drabinie zoologicznej, przejawy ich życia są coraz bardziej zbliżone do życia ludzkości. Rozsunąć bodaj na jedną chwilę ową przedziwną tkaninę, z utkaniami na niej ręką wszechmocnej Natury — cudownemi wzory.

Zacniemy odrazu od tych istot, co się wyżej wspięły po stopniach rozwoju, gdzie już mamy przejawy myśli i uczuć, gdzie się zaczyna pewne działa-

nie, a co ważniejsze, spóldziałanie jednostek, wykazujące, że tam już jest zaczątek psychiki, dostępny naukowemu badaniu.

Spóldziałanie bowiem jednostek w państwie zwierzęcym jest bezwzględnie dziełem myśli, która działa za pomocą środków tak zbliżonych do ludzkich, że wskutek tego zupełnie dostępnych naukowemu, rozumowemu badaniu. Oczywiście, nie wśród istot na niskim szczeblu rozwoju, gdzie przejawy życia są nikłe, mechaniczne; w miarę jednak wznoszenia się po drabinie istnień, widzimy, że mechanizm sam jest niewystarczający. Zmyślność, przejawiająca się już u niektórych gatunków ryb, n. p. zbudować gniazdo, często o strukturze dosyć złożonej, wprowadzić do niego samice, następnie strzec w niem przez długi czas jajek po ich zapłodnieniu, utrzymać nieustanny bieg wody koło nich, aby je uchronić od zepsucia, są to czyny, przewyższające nietylko automatyzm Karzejański, liczący zresztą już bardzo nieśmiały zwolenników, lecz nawet Darwinowski, ugruntowany na użyteczności, który nadaje zjawiskom organicznym, najbardziej ślepym, pierwiastek zamiarowy, dosiegający swych celów.

Wobec wyżej przytoczonego zjawiska u ryb, nie można się wstrzymać od myśli, że tam czynnikiem kierującym jest jednak i myśl i uczucie. bodaj w pewnym stopniu, w przeciwnym bowiem razie zwierzę nie wykazywałoby tyle wytrwałości woli. Obserwując miłość macierzyńską i ojcowską w świecie zwierzęcym, musimy dojść do wniosku, że rodzice, tak u owadów, jak u zwierząt, nawet poza ptakami i ssąciami, wiedzą coś o tem, co zawiera jajko i to stanowi pobudkę czynów złożonych, w jakich przejawia się ta miłość. Można tu sobie zadać pytanie, czyżby ryby n. p. wiedziały, że z ich jajek wyjdą inne ryby?! Trudno to zdecydowanie twierdzić, jest jednak już dawno dowiedzione, że zwierzęta czują silne zainteresowanie jajkami, które zapłodniły, oraz, że mają jednak pojęcie tego, że jajka te żyją tak, jak i one i wymagają pewnych starań.

Ażeby zrozumieć, na czem zasadza się to zainteresowanie się jajkami i to pojęcie o ich żywotności, uprzytomnijmy sobie, że każda żywa istota przedstawia się nam w postaci społeczeństwa. Organizm — to społeczeństwo. Substancja zapładniająca z jednej strony, jajka z drugiej należały do ciała rodziców, stanowiły ich część składową, wchodziły one, tak samo jak pozostałe, do liczby pierwiastków, z których każdy żyje. Po oddzieleniu się ich od całości, t. j. od całego organizmu, a nawet i przedtem, gdy oddzielenie się to miało nastąpić, ogólny, głęboko odczuwany niepokój objawia się w całym społeczeństwie, t. j. organizmie. Przypomnijmy sobie n. p. niezwykle wzruszenie kury, która zniosła jajo i niespokojnie, niesłychanie głośno gdacze.

Jeżeli więc połączenie składowych pierwiastków życiowych urzędzone jest w ten sposób, że zakłócenie części odbija się w jakimś ośrodku, a ryby mają już pod tym względem system nerwowy dość rozwinięty, to przy wydzielaniu jajek i ciałek zapładniających, jedno i drugie musi być przedmiotem uwagi zwierzęcia. Widzi w niem część samego siebie i otacza troskliwością. Zainteresowanie się sobą samym zwierzę wyraża zaspokojeniem swych potrzeb, toż samo uczucie względem jajek objawiać się więc musi w szeregu podobnych zabiegów. Stąd pochodzą coraz to pomysłniejsze próby wychowywania, wydrążania jam, budowy ulep-

szonych gniazd. W miarę wznoszenia się zwierząt po drabinie zoologicznej i stopnia wyższego ich inteligencji, z pokolenia w pokolenie, następują rozliczne zmiany, ulepszenia, udoskonalenia. A gdy nastąpi wyklucie, do dawnych starań przyłącza się potrzeba karmienia młodych, oczywiście tam, gdzie one nie porzucają odrazu swych rodziców, są bezradne, i dalszy ich rozwój od opieki tychże rodziców zależy.

Już u bardzo wielu gatunków ziemnowodnych, stojących na pewnym szczeblu inteligencji, samiec bierze udział w troskach wychowania, a nawet przedtem pomaga samicy w wyrzucaniu jajek i okazuje troskliwość o nie. Samiec pewnej ropuchy, jak przytacza Alfred Espinas, której jajka są złączone w kształcie paciorków śluzowatych, bierze je, w miarę znoszenia przez samice, obwija ten sznurek naokoło tylnych łapek swoich, przenosi na suche miejsce i tam je strzeże, aż do ich wyklucia. Gdy nastąpi wyklucie, pogrąża się z niemi w wodę. Pipal surynamski, jak przytacza tenże Espinas, jest pod tym względem jeszcze ciekawszy. Tam samiec pomaga samicy wydawać jajka, które zbiera i układa na jej grzbiecie. Każde jajko leży wkrótce w pewnego rodzaju zagłębieniu. Na grzbiecie samicy tworzy się z pięćdziesiąt małych pomieszczeń, w których zarodki bezpiecznie formują się i rozwijają.

Żółwie, stojące blisko ptaków przez właściwości zoologiczne, a szczególnie przez swą embriologię, łączą się w pary. U niektórych gatunków żółwi, n. p. na wyspach Gallapagos na Oceanie Wielkim, samce w okresie miłosnym wydają głośne dźwięki, które Darwin porównywa do ryku. Otóż, u tych żółwi samica, w okresie znoszenia jaj, idzie w towarzystwie swego samca na piaszczysty brzeg, i tam oboje budują gniazdko w kształcie pieca, w które samica składa swe jaja, a ciepło słoneczne dokonywa wyklucia piskląt. Wiemy, że niektóre ptaki mają obyczaj podobne (n. p. strusie).

Zaczawszy od ptaków, rola rodziny podkreśla się i potęguje.

Tam już zaczynają wchodzić w grę uczucia rodzinne, wyraźnie się zarysowują i grają dużą rolę. Te gatunki, które żyją parami łączą się w nie na zasadzie wyraźnego doboru i sympatii. Niektóre z tych gatunków, pod względem wzajemnego przywiązania do siebie małżonków, górują nad wszystkimi innymi istotami żyjącymi, nie wyłączając niestety i ludzi. Wiemy bowiem dobrze, że tak u szczytu drobiny istnień jak u jej podstawy, tak u małp, jak i workowatych, okazy jednożenne są bardzo rzadkie. Podczas kiedy u niektórych ptaków kojarzy się wielka liczba par na całe życie, wydając z roku na rok pokolenie i nie rozłączając się potem. U ssących wyłączne przywiązanie wzajemne jest wyjątkowe, bardzo rzadkie i zwykle nie trwa dłużej niż rok. Przykłady jednożennstwa najliczniejsze są może u drapieźców. Wilki, lisy, a nadewszystko lew pozostaje całe swe życie z jedną samicą i bierze czynny udział w wychowaniu młodych. Ale na ogół trwałe przywiązanie do samicy po jej zapłodnieniu jest niesłychanie rzadkie. Ssaćce — po zdobyciu samicy — jeżeli nie zaraz, to po pewnym okresie, rzucają ją — tymczasem ptaki trwają w przywiązaniu, które z biegiem czasu tak się potęguje, że częstokroć jedno z małżonków

nie może przeżyć zgonu, a zatem rozłąki z drugim!





# Kobietom w świecie w domu.

## NAJCIEŹSZA KARA.

Co kraj, to obyczaj. Podobno, w państwie siamskim istnieje pewien zwyczaj bardzo oryginalny, mianowicie — przymusowe zawieranie małżeństw z rozkazu panującego.

Dzieje się to w ten sposób: istnieje specjalny urzędnik, którego obowiązkiem jest wciągać na listę „dziewcząt, pozostających pod osobliwą opieką najmiłościwszego monarchy“ wszystkie kobiety, które już to z powodu ubóstwa rodziców i braku posagu, już to ze względu na jakieś wady i przywary, czy to urody, czy charakteru — nie mogły sobie w żaden sposób znaleźć męża.

Każdy z przestępców, skazanych przez sąd na karę więzienia, musi pozatem wziąć sobie za żonę jedną z owych zapisanych na liście królewskiej niewiast. Jeśli przestępstwo jego było niewielkie, wolno mu, w drodze łaski, wybierać sobie oblubienicę z pośród owego grona. Jeżeli jednak przewinił ciężko, zastosowują do niego najsurowszy wymiar kary: urzędnik królewski wyznacza mu sam małżonkę (oczywiście, jedną z tych, których już nikt absolutnie zaślubić nie chce), i zmuszony on jest ożenić się z nią natychmiast. Tego rodzaju wymiar sprawiedliwości nazywa się w Siamie „Najwyższą karą“, ma on jednak tę dobrą stronę, że w kraju tym nawet najbrzydza, najstarsza i najbardziej kłótniwa niewiasta zawsze znajdzie kogoś, kto — chociażby z przymusu — pojmie ją za małżonkę.

## PRACOWITY DZIEŃ PARYŻANKI.

Znany autor francuski, Pierre Veber, drukuje w piśmie paryskim „Candide“ dowcipny feljeton pod tym tytułem.

„Spotykam piękną panią. Wygląda czarująco, lecz gładkie jej czołko przecina zmarszczka, znamionująca poważne kłopoty.

— Co się stało? — pytam.

— Ach, nie ma pan pojęcia, jak ja jestem zapracowana! — skarży się urocza osóbką. — Nie mam po prostu na nic, ale to absolutnie na nic czasu!

— Nad czymże pani tak znów pracuje? — pytam z ciekawością, z trudnością bowiem przychodzi mi wyobrazić sobie to rozkoszne stworzenie w roli jakiejś działaczki społecznej, filantropijnej, czy też zawodowej (do nauk ścisłych, o ile wiem, nie zdradzała nigdy żadnych wyjątkowych upodobań).

— Co ja robię? Ach, panie! Niech pan sobie tylko wyobrazi — ale skądże wy, mężczyźni, możecie to sobie wyobrazić? Dla przykładu opowiem panu tylko r e g i m e m e g o d n i a.

— Słucham z zaciekawieniem.

— Otóż naprzód — wstaje bardzo wcześnie. Niech się pan nie uśmiecha, — to, co mówię, jest naj-

czystsza prawda. Wiem, że są kobiety, które wylegają się w łóżku do południa, albo i dłużej — ale ja do takich nie należę. O, nie! Mój dzień pracy zaczyna się bardzo wcześnie.

— Wstaje tedy pani?...

— Punktualnie o godzinie ósmej. Muszę przecież trochę czasu poświęcić moim zajęciom gospodarskim. Ubieram się poraz pierwszy — w suknię domową i fartuszek. Idę do kuchni, układam menu obiadowe, dysponuję służącym, co mają robić przez cały dzień. Zjadam śniadanie razem z mężem, który się śpieszy do swego zajęcia. Potem przychodzi masażyстка, więc muszę się znowu rozebrać. Po masażu odpoczywam trochę, potem się czeszę, ubieram i wychodzę na spacer. Gdy wracam do domu, czeka już na mnie mój nauczyciel boksu i gimnastyki. Muszę się znowu rozbierać. Ubieram się na drugie śniadanie, potem się przebieram znowu i wychodzę na miasto po sprawunki. O piątej powracam, rozbieram się...

— Żeby się ubrać na nowo?

— Oczywiście — bo wychodzę z wizytami. Potem idę na lekcję pływania: muszę znów rozbierać się i ubierać. O ósmej wracam na obiad, który musi być podany punktualnie, maż mój bowiem nie cierpi tego, gdy się spóźniam. Ubieram się więc na obiad. Po obiedzie najczęściej idziemy gdzieś do teatru, lub na zabawę, muszę więc znowu rozbierać się i ubierać. Jeśli mówię, że się ubieram, to może trochę przesadzam, bo nasze suknie wieczorowe są tak krótkie i tak głęboko wycięte! No, ale samo włożenie ich na siebie zajmuje też trochę czasu. Powróciwszy do domu, rozbieram się znów i ubieram na noc — dzięki Bogu, po raz ostatni w ciągu tego dnia. No, i cóż pan mówi na to?

— Jestem oszołomiony.

— A widzi pan! I pomyśleć, że są jeszcze na świecie ludzie, którzy uważają, że my nie mamy nic do roboty! Proszę tylko sobie wyobrazić, ile energii, siły i zdrowia trzeba mieć w sobie, aby wytrzymać podobnie pracowite życie?

— Ma pani rację. Szczerze współczuję pani i jej siostrzom-paryżankom. Oczerniają was doprawdy niesłusznie, bo jesteście najpracowitszymi pod słońcem istotami.

— Ach, pan jest doprawdy nieznośny — zawsze się pan śmieje! I doprawdy nie wiem, czy pan żartuje sobie ze mnie, czy też mówił to naprawdę?

— Śmiać się? Ale skądże! Jestem zupełnie na serio przejęty podziwem dla pani licznych i różnorodnych zajęć. Zdaje mi się nawet, że pani chyba nie wyliczyła ich wszystkich, bo przecież zdarza się pani z pewnością rozbierać i ubierać daleko częściej — na przykład, podczas wizyty u doktora, u krawcowej...

— Ależ naturalnie! Raz nawet, kiedy byłam na jednym balu maskowym, musiałam się przebierać trzy razy w ciągu tego wieczoru!

— A widzi pani! Doprawdy, nie rozumiem, skąd taka wąta i eteryczna istotka, jak pani, może czerpać siłę do tak nadzwyczajnie wyczerpującego trybu życia! A czy pani ma dzieci?

— Mam — dwoje. A żeby pan wiedział, jakie śliczne, doprawdy urocze dzieciaki! Widuję je wprawdzie bardzo rzadko — nie mam czasu, pan rozumie, obowiązki przedwyszyskiem, potem dopiero przyjemności —

— Rozumiem doskonale. Ale niech mi pani pozwoli sobie zadać jedno niedyskretne pytanie: kiedyż pani miała czas, przy tylu zajęciach, urodzić te dzieci?

— Musiałam wziąć urlop!

### NIEBEZPIECZNE KOBIETY W JAPONJI

Pomimo nader wysokiego poziomu cywilizacji w Japonji, pomimo emancypowania się kobiet japońskich, w życiu społecznym tego egzotycznego kraju panoszy się wciąż cały szereg tradycyjnych przesądów i fatalnych zabobonów.

Do najbardziej niemądrych zaliczyć można przekonanie, że dziewczęta urodzone w t. zw. „Hinocuwa“ roku, przynoszą w przyszłości mężowi swemu nieszczęście.

Z takimi upośledzonymi dziewczętami mężczyźni nie chcą się żenić.

W tym roku właśnie, jeden taki nieszczęśliwy rocznik dziewcząt jest już w wieku odpowiednim do zamążpójścia, chodzi tu mianowicie o dziewczęta, urodzone w r. 1905. Fatalny ten rok powtarza się co 61 lat. Skutki tego dziwnego zabobonu, okazały się tym razem wprost tragiczne. Przeszło 300 dziewcząt japońskich popełniło samobójstwo. Dla Japonki fakt pozostania niezamężną jest o wiele uciążliwszy, aniżeli dla Europejki.

Dziś, zmodernizowanie w Japonji pozwala, przynajmniej, tym nieszczęśliwym istotom ucieczkę do życia zawodowego.

Wiele kobiet z pośród urodzonych w feralnym tym roku poświęciło się pielęgniarstwu, nauczycielstwu, badaniom naukowym i t. d.

Fatalny ten przesąd zakorzeniony jest nie tylko w sferach ludowych.

Panna Zikonami, córka byłego ministra spraw wewnętrznych, piękna i utalentowana dziewczyna, oświadczyła publicznie, że nie może przyjąć żadnych propozycji małżeńskich.

Z pośród 249 studentek wydziału medycznego w Tokio, 77 dziewczuch urodziło się w nieszczęśliwym roku 1905. Postanowiły zamaż nie wychodzić.

Napróżno uczeni starają się wytepić ten nieszczęśliwy zabobon.

Usiłowano udowodnić, że niektóre kobiety, urodzone w tym rzekomo fatalnym roku — żyły jednak szczęśliwie w małżeństwie. Coprawda niewiele kobiet, urodzonych w 1844 roku zostało przy życiu, a z pośród tych, co zostały, tylko jedna była mężatką — niejaka hrabina Ishuerro.

Historja jej życia była wyjątkowa.

Zakochał się w niej młody i romantyczny hrabia Ishuerro — i wbrew woli całej rodziny, a nawet samej wybranej — wykradł ją z domu rodziców i poślubił. Podobno był szczęśliwy. Przeżyli ze sobą 50 lat... lecz „niebezpieczna“ kobieta przyznała się, że życie jej było ustawiczną męką. Na każdym kroku uczuwała swój „fatalizm“ i wciąż żyła w panicznym lęku, aby osobą swoją nie ściągnąć przekleństwa niebios na ukochanego męża i liczne swe dzieci.

Wyjątek ten nie przekonywa jednak zabobonnych. Powiadają oni — że właśnie wyjątki potwierdzają regułę, i przesąd króluje nadal w Japonji.

Przypuszczają należy, że dziewczęta, które przyjdą na świat w następnym roku fatalnym 1966 r. uwolnione już będą od tej klątwy niedorzecznego zabobonu.

### Z TEATRÓW

TEATR LETNI: „Strzelec od Maksyma“, komedia w 3 akt. Mirande'a i Quinsona.

—o—

Ostatnia premiera w Teatrze Letnim należy do typowo „letnich“, t. j. najmniej wartościowych w repertuarze. Nie mówię już o arcydrażliwych sytuacjach farsowych, jak zatrzymanie się kuto-karawanu przed lokalem Maksyma! Pomysł podwójnego życia p. Juljana, który w wyżej wspomnianym lokalu odgrywa rolę streczyciela i fagasa, o kilkanaście

zaś mil dalej żyje, jako wzorowy ziemianin i ojciec, nie została wykorzystana przez autorów. Wszystko w tej komedji jest szablonem od osób począwszy, a kończąc na sytuacjach. Szkoda pracy aktorów (p. Fertner był tym razem bardzo dyskretny, co zawsze na dobre wychodzi jego grze, p. Grabowski miał dużo wdzięku, pp. Gorceżyńska i Chaveaux — doskonałe) szkoda reżyserji p. Pawłowskiego, i szkoda czasu poświęconego na przekład komedji pp. Mirande'a i Quinsona. A podobno dokonał go jeden z naszych znanych literatów, i to z własnego wyboru.

Z. P.

# MODY I ROBOTY



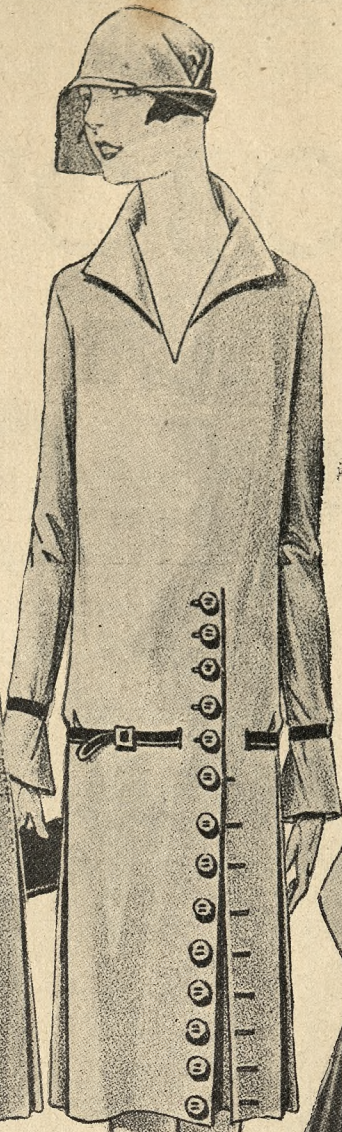
647.

648.

649.



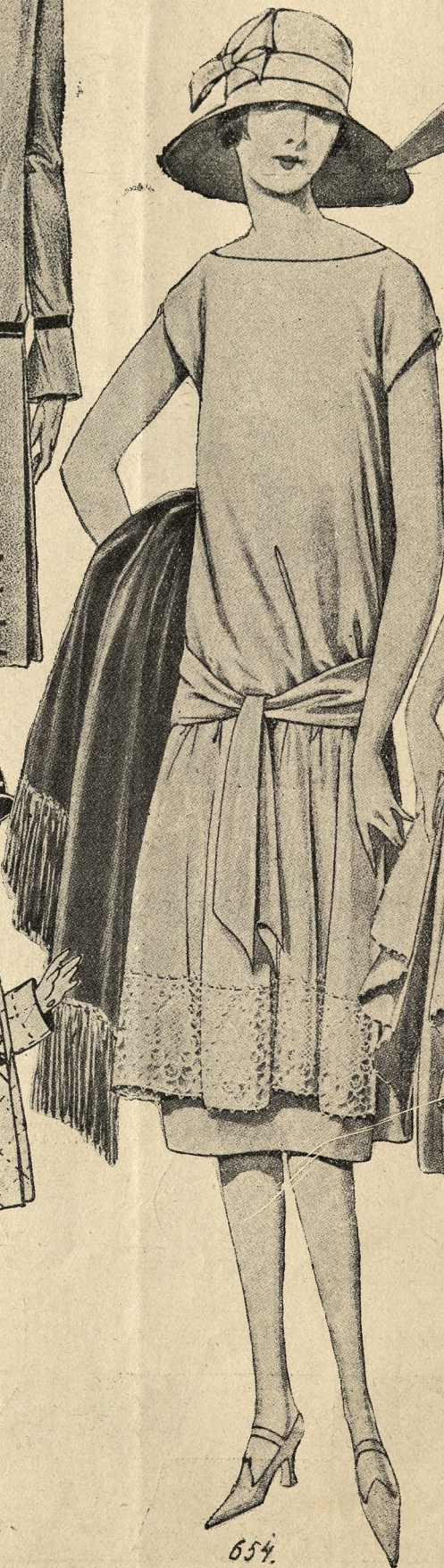
650



651



652



653



654

655



656

657



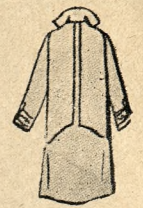
658

659



660

661



662.

663.



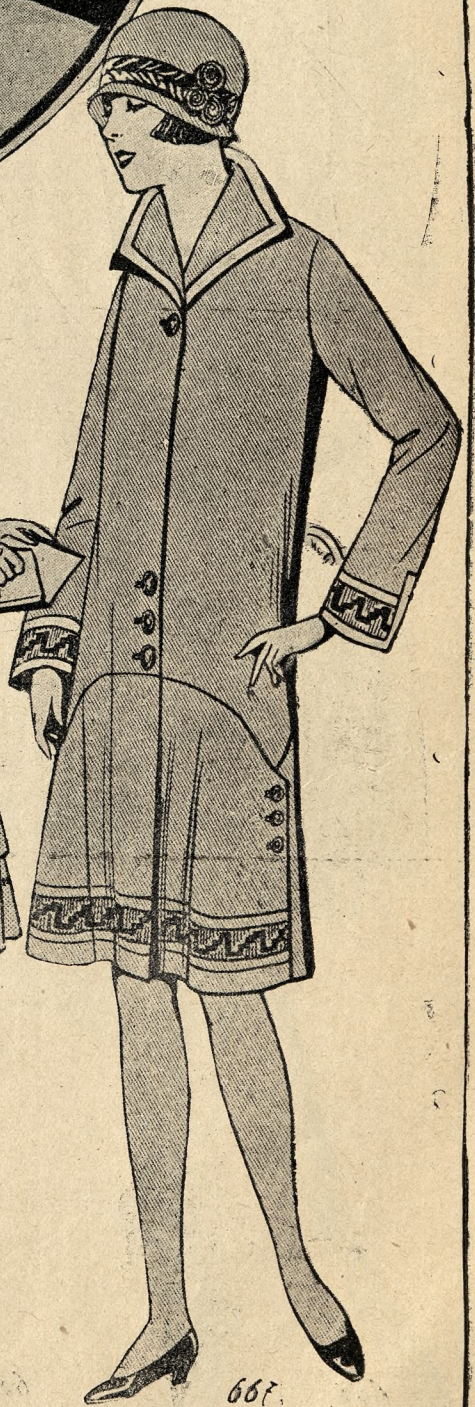
664.



665.

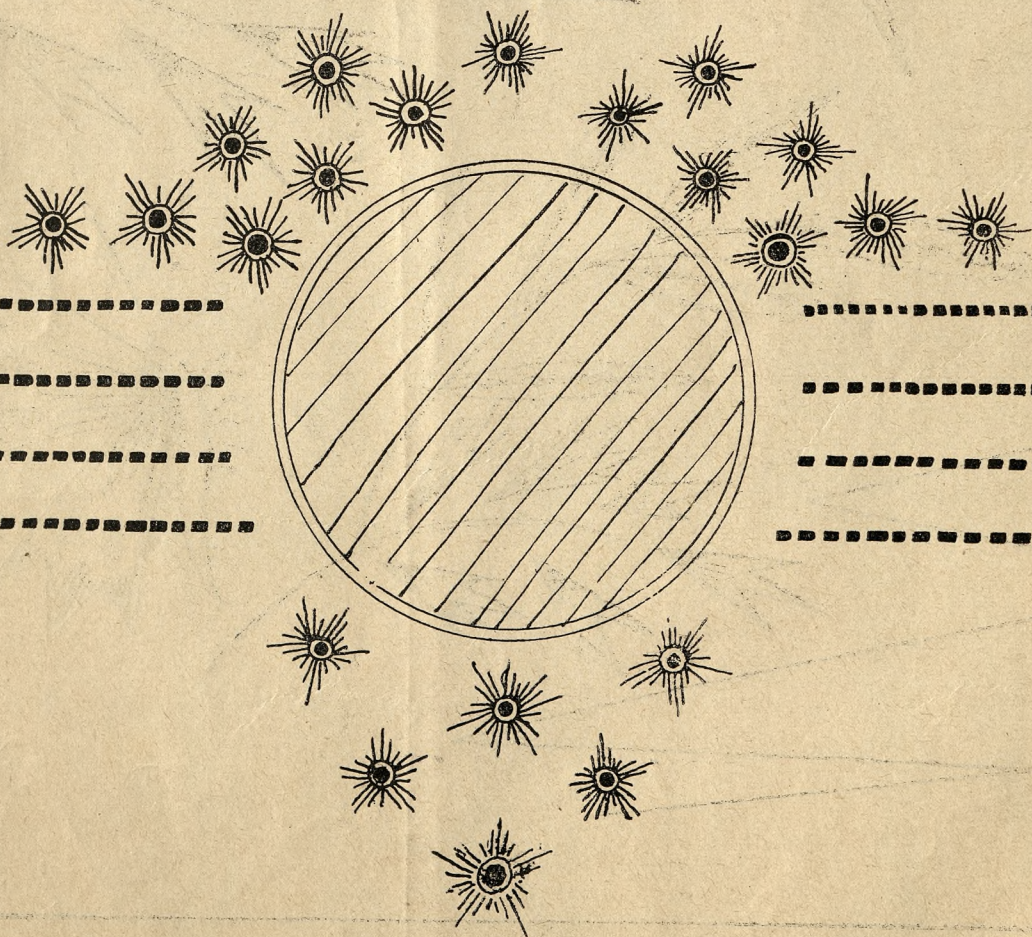
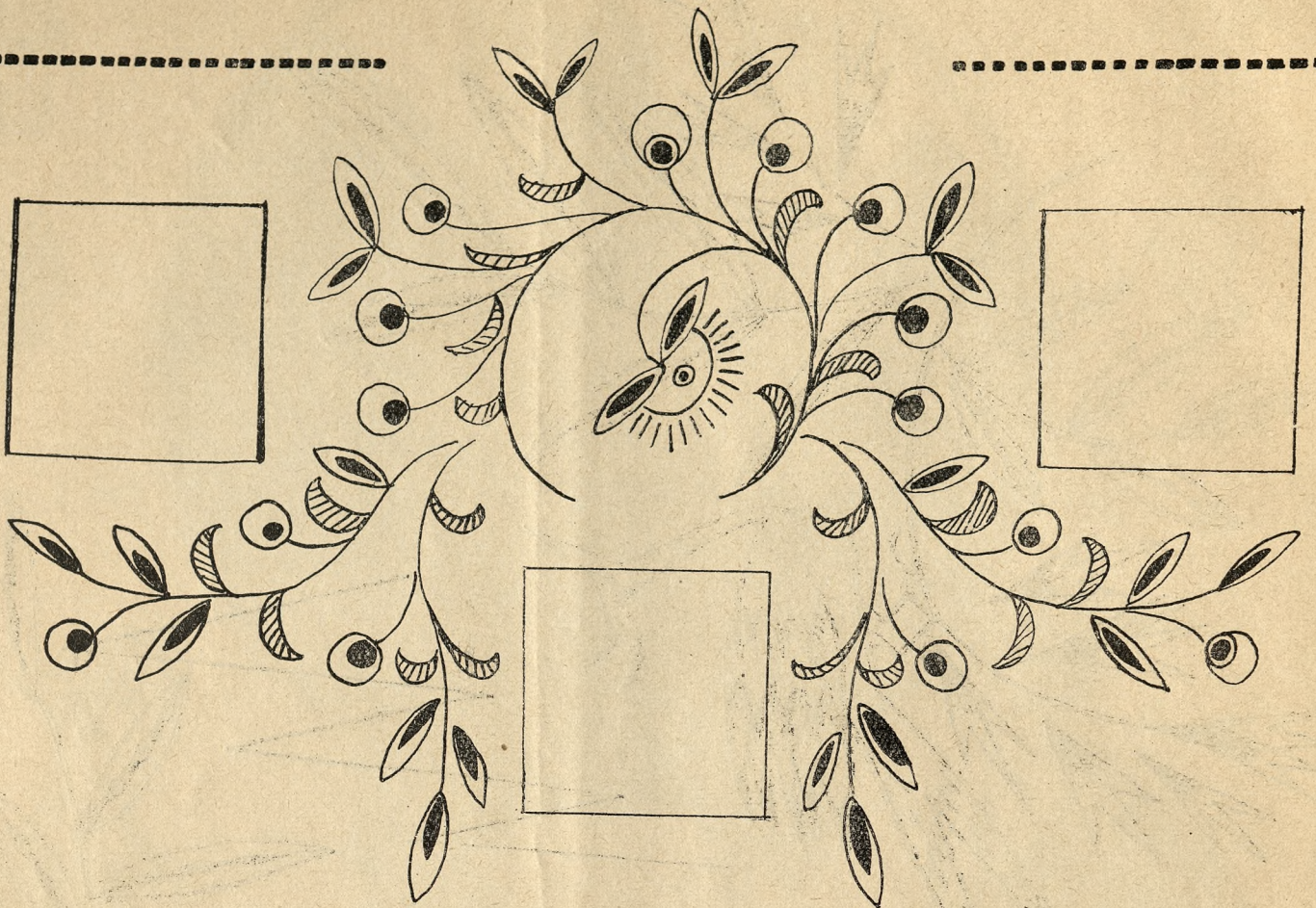


666.

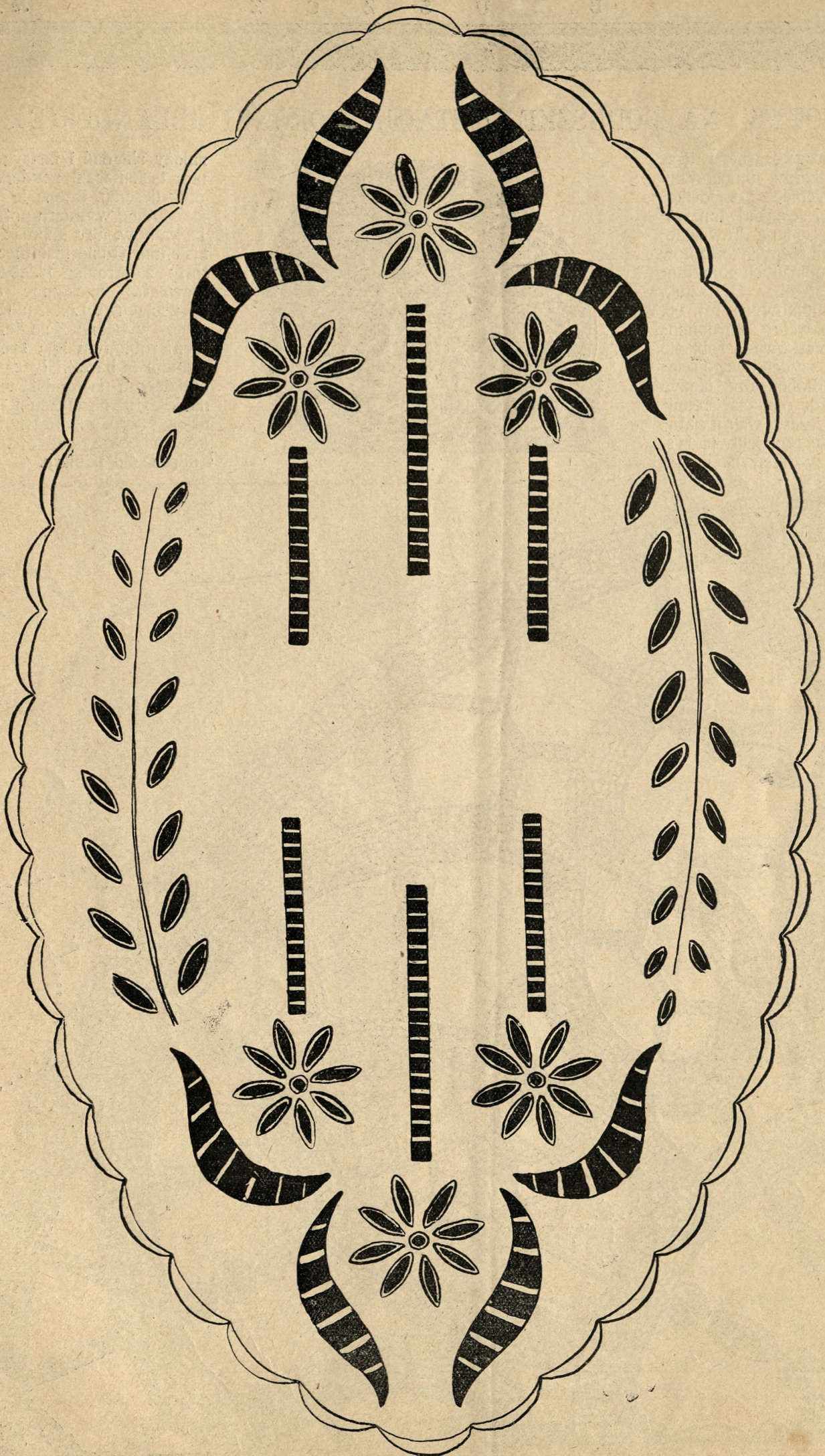


667.



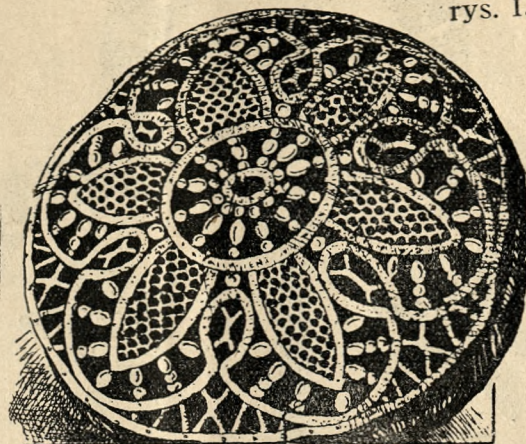






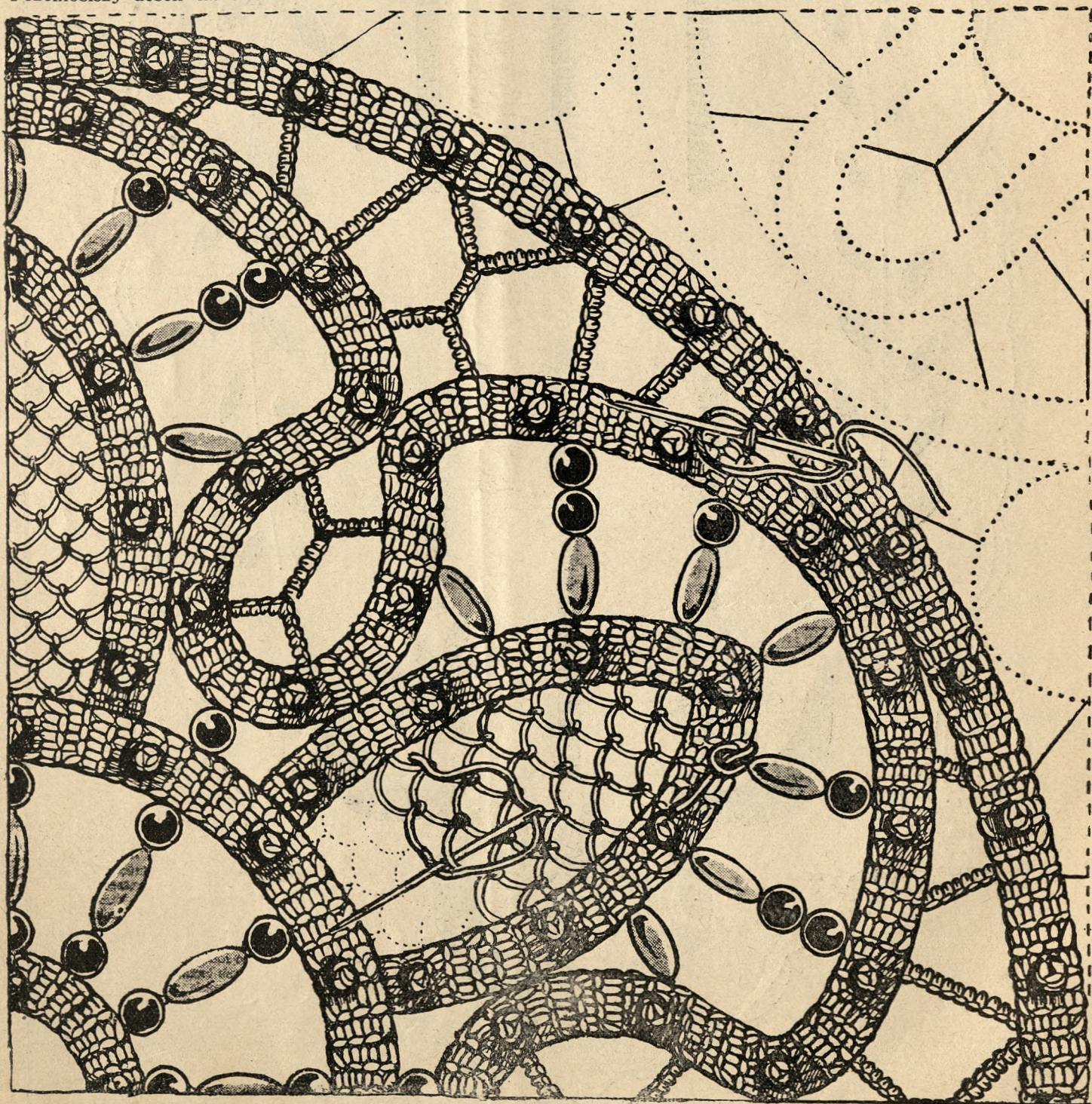
## MOTYW NA PODUSZKĘ, IMITACJA KORONKI IRLANDZKIEJ.

Na poduszce z czarnego atlasu (rys. 1) widzimy umocowany motyw z tasiemeczki szydełkowej zrobionej ścięciem tunetańskim w połączeniu z drewnianymi paciorkami różnych kształtów i kolorów. Podłużnych pomarańczowych potrzeba 56 sztuk, i okrągłych fioletowych szt. 68. Ze 100 gr. bawełny kordonkowej koloru piaskowego robi się tyle galonika szydełkowego ścięciem tunetańskim, aby ułożyć z niego wiązkę o 39 cm. średnicy, której  $\frac{1}{4}$  część wzoru naturalnej wielkości podajemy na rys. 2. Przeniósłszy deseń na bristol

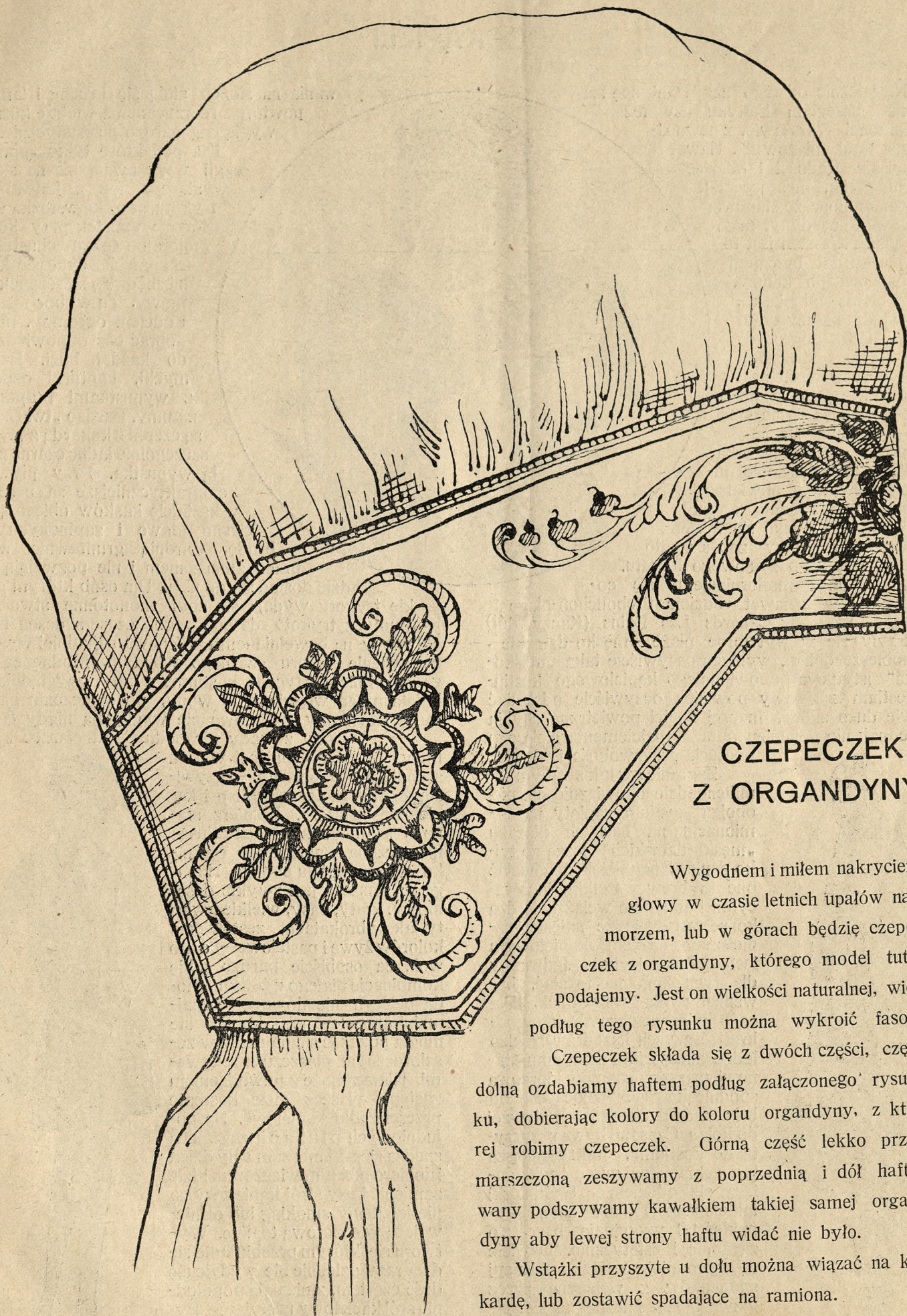


rys. 1.

należy składać i fastrygować na nim tasiemeczki szydełkowe podług deseni, trzeba je robić ściśle podług wymiaru potrzebnych kawałków, aby uniknąć krajanias tasiemki. Gdzie tasiemeczkę musimy zaokrąglić trzeba ją od wewnątrz naciągnąć na nitkę i przeciągnąć. Listki ułożone zeszyte wypełnić ścięciem tiulowym robionym igłą tam i z powrotem — baretki łączące deseń obdzierać na podstawie trzech nitki. Po ukończeniu motywu naszyć w różnych odstępach fioletkowymi okrągłymi paciorkami i odpruć od papieru.



rys. 2.



## CZEPECZEK Z ORGANDYNY

Wygodnym i miłym nakryciem głowy w czasie letnich upałów nad morzem, lub w górach będzie czepeczek z organdy, którego model tutaj podajemy. Jest on wielkości naturalnej, więc podług tego rysunku można wykroić fason.

Czepeczek składa się z dwóch części, część dolną ozdabiamy haftem podług załączonego rysunku, dobierając kolory do koloru organdy, z której robimy czepeczek. Górną część lekko przymarszczoną zeszywamy z poprzednią i dół haftowany podszywamy kawałkiem takiej samej organdy aby lewej strony haftu widać nie było.

Wstażki przyszyte u dołu można wiązać na karkę, lub zostawić spadające na ramiona.

## DO KĄPIELI

Niezależnie od tego czy Pani spędza lato nad brzegiem Bałtyku czy też w zakurzonej Warszawie, z pewnością musi Pani „plażować”. Nawet podmiejskie Radości i Miłosne dlatego chyba, noszące tak wdzięczne imiona że stanowią one ich wdzięk jedyny, mają swoje plaże. Czasem jest to łąka piasku nad brzegiem jakiegoś rowu lub kałuży, czasem niema ani piasku, ani rowu, ani kałuży tylko kawałek ugoru odgradzony płotem i strzeżony przez trzy rachityczne sosny, ale zawsze nosi szumną nazwę plaży, ostatecznie ma to i tę dobrą stronę że wymęczony całoroczną orką człowiek nareszcie sobie odśapnie na świeżem powietrzu, odetchnie wszystkimi porami zasłoniętej skóry, spali się w słońcu, zacerpnie nowy zapas sił do dźwignia zwykłego życiowego kieratu.



Ponieważ jednak modernizujemy się coraz bardziej, więc nawet rodzinie tirebouchon-plage (Świder) i Trou aux Canards Les Bains (Kaczy dół) zaopatrzyły się w wytworne plaże „męsko-damskie”. A że noblesze oblige, wymaga oczywiście taka „męsko-damska” instytucja odpowiedniego kąpielowego kostiumu. Kostium kąpielowy powinien oczywiście odsłaniać możliwie dużo skóry, inaczej kąpiel powietrzna chybia celu, jednak nie powinien obrażać najelementarniejszego poczucia przyzwoitości i estetyki.

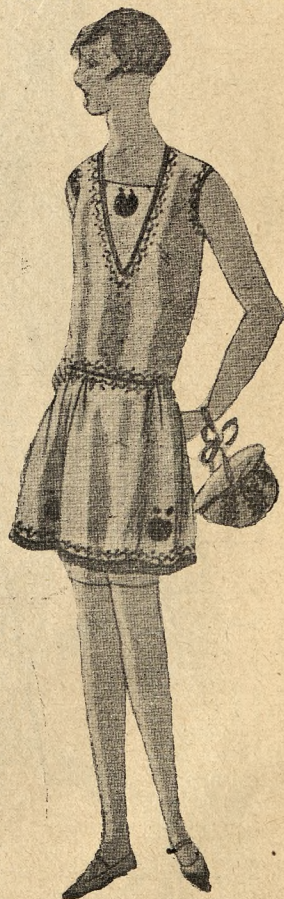
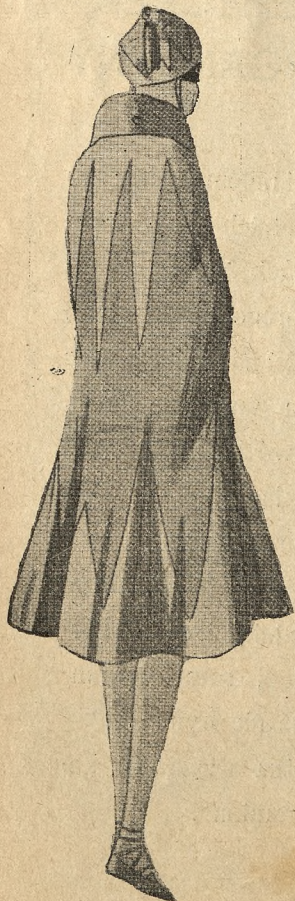
Zagranicą w tak zwanym Familienbadzie obowiązuje dla płci obojga kostium zapięty na ramionach; na naszych plażach „męsko-damskich” noszą go tylko panie, Bogu dzięki że chociaż one. Wbrew wszelkim innowacjom i zmianom wciąż twierdzą konserwatywnie że najestetyczniejszym strojem kąpielowym jest czarny trykot. Jedwabny dla tych kogo na to stać, bawełniany dla wszystkich. Dla osób które nie chcą zbyt podkreślać swoich kształtów bardzo ładne akcesorium kostiumu stanowi marszczona albo kloszowa spódniczka zaczynająca się od bioder a dochodząca najwyżej do kolan. Czasami bywa przyszyta do kostiumu, praktyczniejsza jest zebrana na gumę i wkładająca się oddzielnie. Spódniczki takie maskują niepotrzebne wypukłości i wyglądają bardzo zgrabnie i estetycznie. O wiele są wygodniejsze od kombinacji spodenków z wciągana przez głowę bluzą. Niezbędne jest jakieś przykrycie włosów: po pierwsze — od ciągłego przeby-

wania na słońcu stają się kruche i łamiące, powtórę—rozrzucone na wietrze kosmyki wyglądają bardzo nieestetycznie.

Dla pań które tylko „plażują” czyli wygrzewają się na słońcu, wystarczy fez z jedwabnego trykotu, szeroka wstążka w kolorze wypustek przy kostiumie albo lekka chusteczka. Dla pań chcących się kąpać niezbędny jest czepek gumowy. Tu wybór fasonów i odcieni ogromny, można dobrać coś odpowiedniego do każdej buzi. Berety, mycki, kapturki ozdobne z wypustkami i aplikacją z gumy. Bardzo „twarzowe” są czepki z kokardą z przodu, szczególnie ładne czarne z białą wypustką. Przy pływaniu najpraktyczniejsze są czepki w kształcie kasków oblegających ciasno głowę i zapinanych pod brodę. Chronią gruntownie włosy przed zmoczeniem i nie pozwalają w-

— gdzie dostać się do uszu. Dla osób którym gładkie trykoty wydają się zbyt monotonne stworzono kostiumy z trykotu deseniowego, czasem deseń bywa jedwabny na bawełnianem tle. Znowu najładniej wygląda zestawienie koloru czarnego z białym. Modne są eleganckie i niepraktyczne kostiumy z tafty, wyglądają one ładnie przed wejściem do wody, po zmoczeniu bardzo tracą. Kostiumy satynowe nie wyglądają nigdy ładnie.

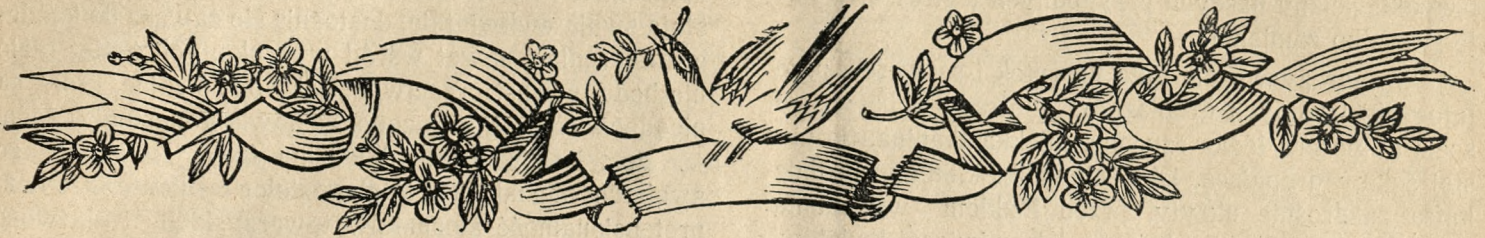
Po wyjściu z wody niezbędny jest płaszcz kąpielowy. Wobec panującej w tym sezonie mody peleryn — oczywiście że robi się tym krojem i kąpielowe płaszcze. Kołnierz stanowi szeroka, stercząca ruisza marszczona zwochatego ręcznikowego materiału eponge, Eponge na płaszcze jest zwykle deseniowy: kraty, pasy, wielkie kwiaty jak w brokatach, zestawienia kolorów żywe i pastelowe — co kto woli. Ja osobiście bardzo lubię kombinację białego z żółtym. Moda peleryn nie dowodzi bynajmniej aby elegancka kobieta nie mogła pokazać się na plaży w zeszłorocznym płaszczu z rękawami. Nieraz może z powodzeniem zastąpić płaszcz duże kosmate prześcieradło kąpielowe. Na południowych plażach zagranicą spędza się nad morzem cały dzień i dopiero późnym wieczorem idzie zamienić kusy strój kąpielowy na nieskazitelny smoking lub olśniewającą wieczorową toaletę. Wytwornisie, którym przebieranie się dwa razy dziennie nie wydaje się dość częstym, zmieniają popołudniu strój kąpielowy na pyjamę. Pyjamę ze spodenkami spiętymi przy kostkach; równe jak rury spodnie



męskiego typu nie są już modne. Tak ustrojona dama, z maluchną parasoleczką w ręku paraduje na plaży do wieczora. U nas pyjama jeszcze się nie przyjęła jako strój spacerowy i jako negliż zaledwie w niewielu domach znajduje prawo obywatelstwa. Najczęściej daje się oglądać na scenie... i to otwartej. Tak, co do pyjam

pozostajemy grubo w tyle za Europą. Ale czy mamy tego szczególnie żałować. Co się tyczy komfortu, uprzywilejowania zabiegów, higieny kąpielowego aparatu, niestety pozostajemy w tyle jeszcze bardziej, ale tu sam żal nie pomoże. Nie wchodzi to zresztą w zakres toaletowego feljetonu.

W. L.



## W DROGĘ.

Cudowne uczucie wyzwolenia. Trzask zamykanych drzwiczek, nawoływania, gwizdki — ostatnie uśmiechy, ukłony, pożegnania, szereg napomnień, poleczeń i — westchnienie ulgi. Niepokój, co wyrósł na terenie wadliwego przeświadczenia, że bez nas tam sobie przecież nie dadzą rady, mać słońeczność chwili, odpada jednak to wszystko, rozluźnia pęta, a w cichym miarowym tempie, co tak słodko kołysze, usypiają drobne troski i lekka mgła zasnuwa najgorszego wroga — wyrzut sumienia, że oto my jedziemy ku słońcu, a poza nami został ktoś, co ciężar życia dźwiga z dnia na dzień cierpliwie i zbożnie, aby wywalczyć dla nas uśmiech i wytchnienie.

Chcę wierzyć, że coraz więcej jest tych, którym mać jasną powierzchnię dni, trwanych w beczynie, wielka niesprawiedliwość losu.

Z jednej strony kufry ciężkie od letnich śliczności i wdzięczna sylwetka niewieścia ruchem sennej kotki w złocisty aksamit morskiego wybrzeża wtulona — czar powłóczystych spojrzeń, poobiednie godziny w swawolnej atmosferze dancingów żyte — urok roślinnych, świeżych poranków, tajemniczy szept fali, rzeźwiący chłód chwili żegnającej słońce, co w bezkresną otchłań zapada błękitu, najcudowniejsze wschody księżyca, ścielącego się srebrzystą łuską na fali. Z drugiej — pustka „zabezpieczonych“ na lato ścian, nużący dep-tak przymusowej codziennej pracy — szklanka mętnego brzydactwa w jakiejś małej sączona cukierence, posmak tanich obiadów, rujnujących zdrowie i pustka, pustka smutnego życia, co wiecznie grosz do grosza składa, byle zaoszczędzić i związać koniec z końcem.

Jak mało w dzisiejszych ciężkich czasach jest tych, którzy po nadludzkim przeważnie wysiłku pokrycia kosztów takiego rozkosznego lata — mogą wystarczyć na to, by przetrwać go w normalnych warunkach niezredukowanych do minimum potrzeb własnych i przyzwyczajzeń, a jeszcze mniej, niestety, tych, co to ciche, a wielkie doceniają poświęcenie. Poświę-

cenie złożone z małych, drobnych, codziennych prywatności i trosk przeważających tak zdecydowanie szale na korzyść wielkich jednorazowych gestów, co upaja ją posmakiem bohaterskiej martyrologii. Na to jednak, aby ciężar życia równomiernie na obojga płci zaważył barkach, trzeba lat jeszcze pracy i myśli wnikliwej i trzeba, żeby nad kołyską każdego dziecka zawisło najcudowniejsze słowo „sprawiedliwość“ i przewodnikiem było tym, którzy pierwszymi jego kierują krokami, a gwiazdą przewodnią późniejszej doczesnej wędrówki. W ciepłe tego wielkiego słowa rozświetliłoby się, jak w słońcu, morze krzywd ludzkich, a przeciążone ramiona dźwignęłyby się i prężnie ku błękitom wzniosły.

Zanim jednak na świecie sprawiedliwości wzejdzie era, spojrzymy śmiało w twarz warunkom dzisiejszym i starajmy się zdobyć największą mądrość życiową — umiejętność wykorzystania chwili.

A zatem, jeżeli już miarowe tempo mknącego w dal pociągu niesie nas ku swobodzie, trzeba odrzucić precz refleksje wahania, a pełną piersią pić z czary wytchnienia, co zdrowie ciała i duszy daje.

Chcąc wyeliminować z samego faktu wyjazdu i bytowania poza domem troski, kłopoty i niewygodę, trzeba posiąść technikę podróży. Polega ona przede wszystkim na racjonalnym wyborze miejscowości, w której prążyć mamy nić naszego chwilowego żywota. Nie wyjeżdżajmy do zapadłych, ślicznych nieraz, ale nudnych kątów, jeżeli lubimy towarzystwo i żadne jesteśmy wybitnie ruchliwych i gwarnych rozrywek. Jeżeli trzeba nam kuracji i wypoczynku, stronić należy od środowisk zabawy i gwaru, co narzucają specjalne, a uciążliwe obowiązki strojenia się i dostosowywania do ogólnego trybu życia, a dobrze będzie zapaść poprostu w jakimś uroczym kącie podgórskim, czy na od-dalonym ośiąć wybrzeżu, gdzie natura, niezakłócona elementem ludzkiego świegotu, kojącą dłonią uciszy nerwy.

Druga rzecz niemniej ważna to po mistrzowsku rozwiązać zawły problem. Nie krępując swobody ruchów balastem zbyt licznych bagaży, zabrać jednak ze sobą wszystko konieczne, potrzebne i niezbędne, a znaleźć przytem jeszcze wolny kącik w czeluściach kufru podróznego na rzeczy, które zimne, puste i tak bardzo brzydkie ściany naszych przygodnych legowisk, w miłe gniazdko zamienia.

Wystarczy wesoła nuta narzutek i serwetek, parę fotografii i ładnych drobiazgów — draperja barwna rozsiana na poręcz łóżka rzucona, miękka tkanina, tło pustej ściany drapująca, jakiś niewielki kilimek, na dnie kufru zazdrośnie ukryty, przed łóżkiem wydeptana zaściełający podłogę, i kwiaty, jak najwięcej kwiatów. W oknach ogniste pelargonje, w zwyczajnych glinianych wazonach więzie paproci, traw, koronkowych gałązek i jagód leśnych. To minimum trudu wystarczy jednak, aby bezosobowa szarzyzna tchnęła czarem kobiecości i zamieniła się w gniazdko, tak bardzo dobremu samopoczuciu sprzyjające.

Kto zwykł wyjeżdżać dość często, doceni ważność rynsztunku podróznego, na który składa się tak strój odpowiedni, jak i wygodne, pakowne i porządne kufry, które chronią nas od nieestetycznych paczek i paczuszek, paraliżujących swobodę i ciężących tak dotkliwie na opinii podróżującej kobiety.

Gdyby tak można sobie pozwolić na luksus ostatnich, w dziedzinie, o której mowa, wynalazków, wieszalibyśmy suknie i kostjumy na ramiączkach w specjalnie po temu skonstruowanych kufrach, układając bieliznę i pantofelki w głębokich, poniżej umieszczonych szufladach, rzucając szlafroczek i w pierwszej chwili przyjazdu potrzebne przedmioty na dno lekkiego nesesera, zdobnego baterją szczotek, szczoteczek, flakonów, nożyczek i pilników, rozmieszczonych w jego wnętrzu. Ślicznie pleciony i miękko wewnątrz wysłany koszyczek z zastawą stołową, maszynką spirytusową i imbryczkiem, uchroniły nas od zabierania w drogę, lub na wycieczki zapasów, prowizorycznie pakowanych, a spożywanych na podłożu zatłuszczonych papierów, które apetyt odbierają. Pled, spięty skórzanymi paskami, pakowne, a lekkie o doskonale pomyślanem wnętrzu pudełko na kapelusze—oto i estetyczny, a do najdalszej podróży wystarczający rynsztunek.

Do drogi należy też ubierać się specjalnie. Szykownie, lecz skromnie, w kostjumy i płaszcze odporne na kurz i pył węglowy, wykonane z materji nie gniotących się, ciepłych, a lekkich. Kapelusik niewielki, doskonale na główce osadzony, bucik wygodny, rękawiczka swobodna, ze skóry do prania w wodzie z mydłem wykonana.

wiczka swobodna, ze skóry do prania w wodzie z mydłem wykonana.

Suknie jakie ze sobą zabieramy praktyczniejszemi się okażą i większe nam oddadzą usługi, jeżeli będzie ich niewiele, a skromnością i wykwintem nacechowane dadzą się zaliczyć do tych, co często noszone nie opatrzą się i nie spowszednieją nigdy. Zresztą te, prostotą swoją wykwintnie, dostosują się zawsze do każdego otoczenia i nawet wśród wyszukanych toalet razić nie będą, wprost przeciwnie, jak zbyt strojne, które na nieodpowiednie tło rzucone, zostawiają niesmak i rażą.

Jest jeszcze jedna dziedzina ściśle związana ze swobodnym nastrojem letniego dolce farniente,—to bezpretensjonalność stosunków towarzyskich i łatwość zawiązywania znajomości — bezsprzecznie miła, lecz niemniej jednak ambarasowna. Trudno w tym wypadku dawać rady. Nieprzekroczenie granic zależy zwykle od kobiety, która wytwarza nastrój i spotyka się tylko z tem co sama posieje.

To też na tle beztroskiego bytowania, jakim znamienne jest życie stacyj klimatycznych, letnisk i kąpielisk, bezcenny umiar, ten wrodzony dar towarzyski, co przy maximum swobody wyklucza jednak wszelki cień nadmiaru takowej, staje się wprost opatrnościowy, gdy przeciwnie, element pruderyjny męczy i odstrasza.

We wszelkich jednak sytuacjach wskazaniem będzie niezawiazywanie znajomości zbyt łatwo i lekomyślnie, bo zrywanie takowych, gdy się niestosownymi, czy niepożądanymi okażą, zostawia zawsze niesmak i powoduje przykre rozdzwęki.

Jako główny dorobek okresu wywcześniejszych lat powinniśmy bezwzględnie uważać jaknajwiększą dozę wypoczynku tak fizycznego, jak i nerwowego, oraz wchłonięcie w siebie siły słoneczności, która tak zawiernie oddziaływa na nastrój domowy. Będzie to pewnego rodzaju rekompensata, jeżeli tygodnie wypoczynku trwane poza domem, a okupione niejednokrotnie poważnem poświęceniem finansowem i wyłomem w budżecie, który długo do równowagi wrócić nie może, pozwolą nam za powrotem wyjść z jasnem obliczem naprzeciw szarzyzny dni, co idą i wpleść w trud codziennego deptaka pogodę, odporność i dozę optymizmu. Dlatego też możliwość odświeżenia zapasu sił, rozprężenia nerwów, które tak cudownie łagodzi cisza pól, lasów, poezja gór i morza, to fizyczne i moralne „nabranie oddechu“, staje się prawdziwem błogosławieństwem, którego ani bagatelizować, ani nie doceniać nie wolno.

W. D.



## POLSKA WSPÓŁCZESNA. PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY PAŃSTWA.

### VI.

Nie wszystkie jednak zadania administracji państwowej wypełniane są przez Wojewodów i starostów. Niektóre działy administracji utrzymują własne agendy prowincjonalne, bądź to wobec niemożności połączenia ich z zarządem administracji ogólnej, jak to ma miejsce z administracją wojskową i sądową, a częściowo z administracją kolejową i pocztową, bądź też z powodu pokutujących jeszcze w administracji polskiej tendencji odśrodkowych, których wyraziciele, mimo wyraźnego stanowiska konstytucyjnego w tym względzie, nie mogą się pogodzić z utratą własnych placówek i z wykonywaniem swoich zadań na prowincji za pośrednictwem wojewodów i starostów. Walka z temi tendencjami, prowadzona jest przez wiele osób zajmujących się zagadnieniem reorganizacji administracji, które postulują ujednostajnienie administracji, popularny pod nazwą „zespoleńca władz administracyjnych“, uważają za jeden z głównych warunków naprawy skarbu Rzeczypospolitej.

Dla potrzeb każdego z działów administracji wyodrębnionych Państwo podzielone jest na okręgi różnego typu.

Tak więc, dla potrzeb administracji wojskowej, Polska dzieli się na 10 okręgów korpusowych. Na czele każdego takiego okręgu, stoi generał, dowódca korpusu, zależny bezpośrednio od Ministra Spraw Wojskowych. Dowództwa okręgów korpusowych wypełniają swoje zadania w powiatach (głównie sprawy poborowe) za pośrednictwem „powiatowych komend uzupełnień, (P. K. U.) istniejących teoretycznie w każdym powiecie administracyjnym, ale w praktyce obejmującym nieraz po 2 i po 3 powiaty.

Administracja sądowa wykonywa swoje zadania na prowincji za pośrednictwem prokuratorów przy odnośnych sądach, tak że jej podział terytorjalny pokrywa się z podziałem terytorjalnym przyjętym w sądownictwie. Sądownictwo polskie zaś, pod zwierzchnictwem Sądu Najwyższego, dzieli się na Sady Apelacyjne, które z kolei dzielą się na Sady Okręgowe. Sądów Apelacyjnych jest 8. Okręgi Sądów Apelacyjnych w Warszawie i w Lublinie, obejmują obszar b. Kongresówki, okręgi Sądów Apelacyjnych w Krakowie i we Lwowie — obszar b. Galicji, okręgi Sądów Apelacyjnych w Poznaniu i Toruniu — b. zabór pruski,

okręg Sądu Apelacyjnego w Wilnie — kresy wschodnie, a okręg Sądu Apelacyjnego w Katowicach — Województwo śląskie. W obrębie każdego sądu Apelacyjnego jest kilka sądów Okręgowych, — które są najniższą instytucją administracji sądowej. Najniższą jednostką wymiaru sprawiedliwości, są podległe sądom okręgowym, sądy powiatowe, albo sądy pokoju. Sądów takich jest po kilka w jednym powiecie administracyjnym.

Administracja szkolna dzieli Państwo na Okręgi szkolne. Okręgów takich jest 11. Na czele Okręgu szkolnego stoi Kurator. Władza miejscowa w zakresie szkolnictwa, jest w każdym powiecie administracyjnym powiatowa rada szkolna, względnie powiatowy inspektor szkolny, zależnie od dzielnicy.

Administracja skarbowa posiada podział dostosowany do podziału ogólnego. W każdym Województwie istnieje Izba Skarbowa, z Prezesem Izby na czele. Prezes jest zależny bezpośrednio od Ministra Skarbu. W każdym powiecie jest Kasa Skarbowa, pobierająca dochody Państwowe i wypłacająca kwoty należne od Skarbu Państwa.

Oddzielny podział administracyjny istnieje nadto w zakresie administracji celnej (urzędy celne) i w zakresie administracji akcyz i mo-

nopoli państwowych (urzędy akcyz i monopoli).

Dla potrzeb administracji kolejowej, Polska podzielona jest na 9 dyrekcji kolejowych. Dyrekcje wykonywują całokształt administracji kolejowej i nie posiadają jednostek administracyjnych niższego rzędu. Również administracja pocztowa dzieli Państwo na Dyrekcje pocztowe, które spełniają całokształt administracji pocztowej, będąc zależnymi wprost od Generalnej Dyrekcji Poczty.

Administracja Reform rolnych jest, w odróżnieniu od administracji rolniczej, którą sprawują Wojewodowie i Starostowie, wykonywana przez Okręgowe urzędy ziemskie i przez podległe im powiatowe urzędy ziemskie. Te ostatnie obejmują po parę powiatów administracyjnych. Ponadto, osobny podział administracyjny istnieje jeszcze w zakresie administracji górniczej (okręgowe urzędy górnicze), administracji dróg wodnych (Dyrekcje dróg wodnych), administracji miar (okręgowe urzędy miar).



## JAK MYŚLEĆ W LECIE O ZIMIE.

Byle ludzie chcieli — chcieć  
W Polsce można dużo mieć!

Lato, z nim wyjazd, swoboda, zapomnienie o troskach i kłopotach zimowych! O ileż moglibyśmy zmniejszyć te kłopoty, gdybyśmy w lecie nie zapominali o nich. Utrudnione przewożenie sło i garnków, niepraktycznym czyni robienie na większą skalę konfitur i kompotów na wsi. Zresztą, dziś nawet przy mniejszych cenach owocu na wsi, mało kogo stać na tego rodzaju zapasy. Są jednak inne, mniej kosztowne i mniej ambarasowne sposoby zaopatrzenia spiżarni w praktyczniejsze sprawunki, jak np. suszenie. Jeżeli wyjeżdżamy w okolice leśne, gdzie mokry rok da nam bogactwo grzybów, znajdziemy w zbieraniu ich rozrywkę, smaczne pożywienie i źródło bogatych zapasów. Przedewszystkiem, trzeba bardzo uważać na grzyby, jakie się zbiera, jakkolwiek w naszym kraju na blisko 200 gatunków grzybów, jest tylko 9 gatunków trujących, a 2 niepewne. Jednakże mieszkańcy miast, nie znający dokładnie wszystkich odmian — nie powinni zbierać innych grzybów, jak prawdziwe. Te zna prawie każdy, a choć są bardzo do nich podobne niedobre, łatwo je poznać gospodarskim sposobem. Jeżeli oberżniemy korzonek, a dotknięte nożem miejsce czernieje — grzyb jest szkodliwy, jeśli pozostanie białe — grzyb jest dobry. Taksamo jeżeli duszona z grzybami cebula czernieje — grzyby — niezdatne do użytku, w grzybach prawdziwych, cebula zostanie zupełnie biała. Te wskazówki stosują się tylko do „borowików“ czyli grzybów prawdziwych, które do złudzenia naśladują „kozaki“ o wiśniowych główkach, ale po dotknięciu ich nożem — ścinają natychmiast. Nie radzę ich używać ani suszyć. Nabierawszy grzybów, trzeba je posegregować i tak: małe zamarynować — jędrne z białym spodem drobne i duże, odłupawszy korzenie, poszatkować drobnitko i rozsypać bardzo cienką warstwą na dużych arkuszach papieru, z początku na niezbyt ostrem słońcu, aby tylko przewędły, powoli nasuwać je na coraz ostrzejsze promienie. Wystawione od razu na za bystre słońce, zbronzowieją, puszcza sos ze siebie i będą niesmaczne, kiedy powoli suszone, zachowają smak i aromat świeżych. Jestto idealny sposób suszenia, grzyby takie, wymoczone w mleku dla nabrania jędrności, przyrządza się z powodzeniem jak świeże, a garść dodana do zupy na zwykłych suszonych grzybach, lub nawet na korzeniach grzybowych, znakomicie jej smak podnosi. Duże stare grzyby nawłóczy się na cienki sznureczek i wiesz na słońcu ostrem, aby prędko obsychały. Żeby się nie zagrzały w miejscach, gdzie się dotykają siebie, trzeba przedzielać je, nawłócząc kawałkami korka, pokrajanego na plasterki. Na noc wiesz nad blachą. Tak samo robi się z korzeniami. Zdrowe, nierobaczywe, czysto oskrobać z ziemi i pokrajane w kawałki grube na palec, nawłóczyć na cienkie, mocne

sznurki, przedzielać kawałkami grubego papieru, aby się nie dotykały i suszyć również w dzień na słońcu, najlepiej wieszając wianki na szybach, w których odbijające się promienie słoneczne większej nabierają siły. Na noc, trzeba je tak jak stare grzyby wieszając w kuchni nad blachą. Nawet jeśli mieszkamy w pensjonacie, z chęcią oddadzą nam tę drobną przysługę i pozwolą powiesić grzyby na noc w kuchni. Przed paru laty, będąc w Krynicy, tej stolicy grzybów, nasuszyłam ich tak wiele, posiłkując się tylko słońcem, że na parę lat starczyło. Drugi doskonały grzybek — to „rydz“, mający sobowtóra w wełniance trującej. Łatwo da się zauważyć różnicę między temi dwoma grzybami. Rydze są z wierzchu i ze spodu gładkie, rosną nisko przy ziemi, młodzietki, prawie że białe są w ziemię, kiedy tamte na wysokich sztywnych ogonkach całe są pokryte jakby nalotem z waty; kolorem tylko i pasiastą powierzchnią są identycznie podobne do rydzów. Jest jeszcze druga odmiana rydzów zupełnie zielonych, te mają zwykle wyższe korzonki, rosną w mokre lato, w wysokich leśnych trawach są również dobre jak żółte — ale nieładne, zwłaszcza do marynowania. Rydze jada się smażone, pieczone na ruszcie, duszone, poszatkowane w śmietanie i najlepsze — marynowane. O ile na letnisku prowadzimy własną kuchnię, łatwo nam przyjdzie zamarynować rydze. Jeśli nie mamy kuchni i na to sposób się znajdzie. Można je dusić po trochu na maszynie spirytusowej, którą zwykle zabieramy ze sobą, albo w kuchni w godzinach poobiednich, o ile potrafimy przemówić z dobrym skutkiem do wrażliwości gospodyni lub kucharza. Wiedziałam, jak przewoziły kuracjuszeki ogromne ilości marynat, składanych początkowo w garnku, zalewane octem na miejscu, na drogę przekładane w kubeczki lub pudełka blaszane, takie jak do landrynek kupcy używają, z wierzchu dobrze kalką założone, zamykane szczelnie, w domu momentalnie poskładać w słoiki i zalać świeżym octem. Tak samo na słońcu suszyć można, cienko poszatkowane jarzyny — z owoców: maliny, czarne jagody, a nawet czarne wiśnie. Zawsze tylko, trzeba mieć na uwadze, aby z początku suszyć na niezbyt ostrem słońcu (b. dobrze na wietrze) i stopniowo powiększać działanie promieni.

Po wysuszeniu, tak grzyby, jak inne produkty, posypywać w woreczki, które najlepiej powiesić na szybach, aby nie zwilgły. Oprócz produktów, można też suszyć różne zioła lekarskie, trawy, liście na bukiety, jednym słowem, wszystko, co nam do użytku i ozdoby służyć może. Nie powinien skończyć się dzień żaden bez powiększenia naszego dorobku spiżarnianego, aby nietylko przysporzyć dobrobytu, ale powetować sobie trochę kosztów letniego pobytu. Trzeba tylko chcieć — i umieć patrzeć naokoło siebie, a znajdzie się tysiące niewyzyskanych sposobów dorobienia i oszczędzenia.

J. S.

## WINO AGRESTOWE.

Wina agrestowe wyrabiano bardzo dawno po dworach wiejskich, robiono zeń przeważnie lekkie wina musujące. Na wino należy brać agrest bardzo dojrzały, przejrzały prawie, byle nie sfermentowany i nie spleśniały. Wobec tego, że mamy teraz dużo agrestu

chorego, pokrytego pleśnią, szczególnie ostrzegam przed użyciem go na wino, — w każdym razie agrest przed tłoczeniem go na masę, należy obmyć w czystej wodzie i starannie osaczyć. Robiąc wino w dużych ilościach, używa się do gniecenia owocu specjalnych



pras o walcach kamiennych, w mniejszych ilościach, można owoc zemleć na zwykłej maszynce, do siekania mięsa. O ile robimy, to szybko i maszynka czysta, chwilowe zetknięcie owocu z żelazem, na smak soku nie wpłynie. Agrest zemleły złożyć w czyste naczynie i potrzymać tak, od sześciu do dwunastu godzin, poczem wycisnąć przez prasę, lub chociaż przez worek z gęstego, surowego płótna. O ile byśmy wiedzieli, że owoc nie został dokładnie wyciśnięty, zalać wyłoczyny niedużą ilością wody, dokładnie wymieszać i wycisnąć powtórnie. Dodać od trzydziestu do pięćdziesięciu procent objętości wody, — czem agrest słodszy, tem mniej wody. Na każdy litr takiego moszcza, odważyć 300 gram, (30 deka) kryształ, rozpuścić go w niedużej ilości podegrzanego moszcza, wymieszać dokładnie i zlać cały płyn do dużego balonu szklanego, uważając, aby na wysokość dłoni została pusta przestrzeń. Możemy teraz to wino zostawić naturalnej fermentacji, jak dotąd przeważnie robiono, lub też dodać doń, tak zwaną malbę, to jest drożdże winne, specjalnie preparowane, dające gwarancję, że wino będzie miało pewien określony smak i bukiet (aromat). Takich drożdży winnych można dostać w Warszawie, w Laboratorium Chemicznym Politechniki, lub w muzeum rolnictwa, Krakowskie Przedmieście 66, w Poznaniu, w Uniwersytecie i t. d. W sprzedaży porcje są obliczone na pewną ilość litrów, należy więc wskazać, jaką ilość mamy zamiar robić.

Po zlanu wina, korkujemy starannie balon czy gąsior, wstawiamy przedtem do korka „czopek fermentacyjny“, czyli wygiętą w kilku kierunkach rurkę szklaną, przez którą przy fermentacji wychodzą gazy. Korek oblewamy starannie parafiną lub pakim, a do rurki wlewamy trochę gliceryny, wody lub spirytusu. Zamiast czopka fermentacyjnego, którego może na prowincji nie wszędzie dostanie, można użyć zgiętej rurki szklanej, jakiej się używa przy picu wód mineralnych. Prostą część rurki wstawia się w korek, zagiętą przedłuża rurką gumową, której koniec trzymamy w butelce z wodą. Gazy, wydzielające się przy fermentacji, przechodzą przez wodę, a ta ostatnia nie dopuszcza do wnętrza balonu powietrza, którego zetknięcie się z fermentującym winem nie jest pożądane. Gdy przejdzie pierwszy okres burzliwej fermentacji i inety osiadą na dno, zapomocą rurki gumowej przelewamy moszcz do drugiego, czysto wymytego i wysuszonego w piecu balonu, nanowo korkujemy balon, zakładamy czopek fermentacyjny lub rurkę szklaną, zakończoną rurką gumową, wpuszczoną w szklaną butelkę i stawiamy w ciepłe dla dalszej fermentacji. Temperatura przy fermentacji powinna być dosyć wysoka, około 22 stopni Celsjusza (19—20 stopni Réaumiéra) latem to jest bardzo łatwe do osiągnięcia, — pod tym względem wino agrestowe jest w lepszych warunkach, niż jabłecznik, robiony późną jesienią. Przy drugiej fermentacji wydziela się znacznie mniej gazów. Po jakimś miesiącu czy sześciu tygodniach, gdy drożdże osiadą na dno, przelewamy jeszcze raz wino do czystego balonu lub gąsiora, zaraz zatykając korkiem z rurką lub czopkiem fermentacyjnym. Gdy po kilku miesiącach, terminu trudno określić, gdyż zależy on od szeregu okoliczności, gdy wino zupełnie przestanie fermentować i dostatecznie się sklaruje, możemy je butelkować, zawsze przez gumową rurkę, lub też tylko przelać do czystego gąsiora, zakorkować, zalać korek parafiną i trzymać do użycia. Zwykle po dziesięciu miesiącach do roku mamy wino już zmaczone i zdatne do picia, czem dłużej je jednak trzymamy, tem smaczniejsze się staje, przyczem należy zauważyć, że wino lepiej się wystaje w dużych gąsiorach, nie w małych butelkach. Wino już zbutelkowane na-

leży trzymać leżące, najlepiej w piwnicy, gdzieby temperatura nie spadała niżej 10 stopni Celsjusza. Jeżeli chcemy część wina mieć musującego, to po trzecim przelaniu, lecz jeszcze przed zupełnem ukończeniem fermentacji, zlewamy je do mocnych butelek szampańskich, sypimy do każdej butelki łyżeczkę cukru, korkujemy mocnymi korkami, zawiązujemy je drutem lub mocnym szpagatem i trzymamy w chłodnej piwnicy lub na lodowni, aby butelek nie porwało.

#### W ODPOWIEDZI JEDNEJ Z CZYTELNICZEK.

Przepis na wino agrestowe podaję. Co do wina, nie widząc go, nie mogę określić przyczyny, dla jakiej wyszło za słabe, — przy domowym wyrobie zawsze pewniej jest brać większą ilość cukru — 300 gramów na litr moszcza. O ile Pani nie ma specjalnie na wino urządzonej piwnicy o równej temperaturze, lepiej Pani zrobić, przechowując wino w szklanych naczyniach. Wino z jabłek nie potrzebuje koniecznie musować. Gdyby Pani chciała otrzymać wino musujące, niech Pani je pozlewa do butelek nieco przed ukończeniem fermentacji (na parę dni tylko), wsypie do każdej butelki łyżeczkę cukru, zakorkuje bardzo głęboko siedzącymi korkami, korki odrutuje, lub zawiąże mocnym szpagatem. Butelki powinny leżeć w piwnicy, gdyż w ciepłe, w najlepszym razie powysadzają korki, ale mogą też i same pękać.

Pani Elżbieta.



#### Kotlety baranie, sos soubise.

Wybrać kotletówkę baranią, dużą i miesistą, zacząć odrąbać kość grzbietową, pokrajać kotlety według kostek, wybić je niezbyt mocno, tyle tylko, aby im nadać zręczny, jednakowy kształt. Niech tak poleżą godzin parę; kto lubi, może je skropić oliwą i sokiem cytrynowym, co zwiększa ich kruchość.

Przed samem podaniem posolić, popieprzyć, osypać mąką i usmażyć na rumiano, nie przesuszając nadto, lub też usiekać, czy przepuścić przez maszynkę łopatkę baranią wraz z dwiema bułeczkami wymoczonymi w wodzie lub mleku, z cebulą przesmażoną w maśle, dodać jedno jajko, łyżeczkę utartego majeranku, soli, pieprzu, wyrobić aż od rąk odstanie. Robić zgrabne kotleciki, utarzać je w mące, usmażyć na rumianem maśle lub smalcu, przykryć miską i trzymać przykryte, w ciepłe, minut kilkanaście, aby wewnątrz doszły. Pięć bardzo dużych cebul, (najmniej pół kil.) pokrajać w plastry i dusić w maśle, na bardzo wolnym ogniu, pod przykrywą, uważając, aby pozostały zupełnie białe, przepuścić przez maszynkę lub przetrzeć przez sito, zaprawić łyżką mąki pszennej, rozprowadzić słodkimi mlekiem lub słodką śmietanką, uważając, aby sos był tak gęsty, jak purée. Przed wydanem dodać kawałt młodego masła, wymieszać z niem, nie gotując. Wyłożyć na półmisek, obłożyć odbijanami lub siekanami kotletami, na sos wylać ma-

sło od kotletów, natychmiast bardzo gorące podawać. Można też kotlety podać z kartofelkami młodem, zieloną lub szparagową fasolą, kalarepką, marchwią lub rzepką, a sos „soubise“ oddzielnie w sosjerce.

### Móźdzki w galarecie.

Dwa móźdzki cielęce lub jeden wołowy wymoczyć, ociągnąć ostrożnie z błonki, ugotować w wodzie z solą i łyżką octu, odcedzić i wystudzić. Dwa jaja ugotować na twardo, oczyścić i pokrajać w plasterki. Trzy szklanki dobrego, mięsnego rosółu rozegrzać, rozpuścić w nich 7 listków wymoczonej wpiery w zimnej wodzie żelatyny. Foremki wyłożyć ładnie listkami pietruszki zielonej, wlać jedną szklankę przygotowanej galarety, zastudzić. Resztę galarety przysmażyć w ciepłe, aby nie zastygła. Na zastygłej galarecie ułożyć jajka, toż samo zrobić po bokach foremki, na to pokrajane na ładne kawałki móźdzki, zalać resztą galarety, wynieść na chłód dla zastudzenia. Do tego podać sos musztardowy lub tatarski, a nawet, w braku oliwy, zwyczajny chrzan z octem. Łatwe i tanie danie, mogące w razie potrzeby, zastąpić rybę.

### Szczaw na zimę.

Szczaw czysto przebrany, opłókać starannie, dać wodzie dobrze ściec, pokrajać go drobno, jak do użycia, złożyć w duży rondel, zagotować parę razy, aby sok, który obficie wypuści, wyparował, osolić do smaku, nie przesalając jednak, gdyż sól, w zbyt dużej ilości użyta, przetrawia tak dalece kwas szczawiu, że ten w gotowaniu żadnego smaku nie ma. Gotując szczaw, należy go łyżką mieszać od dna, aby się nie przypalił. Gdy zgęstnieje i ostygnie, składać go do niedużych słoików lub kompotjerek, nazajutrz zalać warstwami łożu baraniego, a gdy ten zupełnie skrzepnie, zawiązać pergaminem. Dokładnie według przepisu przyrządzony trwa do nowego. Należy go robić w małych naczyniach do użycia na trzy, cztery razy, gdyż raz otwarty łatwo pleśnieje. Szczawiu takiego długo w zupie gotować nie należy. Do gotowego rosółu mięsnego lub smaku z jarzyn (na dzień postny) wkłada się go kilka łyżek, zagotowuje raz tylko, zaprawia śmietaną i zaraz podaje.

### „POUSSE — CAFÉ“.

Są to owoce smażone w syropie spirytusowym, które się podaje do czarnej kawy zamiast likieru. Ogromnie rozpowszechnione we Francji, gdzie w każdej kawiarni pierwszorzędnej, czy to w najgorszej knajpcie podają, jako oddzielne „cerises a l'eau — de vie“, „prunes a l'eau — de vie“ i t. p. Nadają się do tej konserwy wszelkie owoce pestkowe, a więc: czereśnie, wiśnie, renklody, śliwki, morele i brzoskwinie. Owoce należy wybierać dorodne, dojrzałe i niepobite — zachowują wszystkie brzydkie plamy i niepozornie wyglądają.

Przyrządza się każdy gatunek oddzielnie, kiedy wszystkie gotowe — można je mieszać, układając w nieduże słoiki, jak kompoty mieszane. Najlepiej jednak jest trzymać w oddzielnych słojach i dopiero przed samem podaniem mieszać na ładnym koszyczku kryształowym. Czy to oddzielnie podane, czy zmieszane z kilku gatunków są zawsze wykwintnym dodatkiem do czarnej kawy. Brzoskwinie, morele, renklody i śliwki nakłuć gęsto drewnianą lub kościaną igłą, wiśnie i czereśnie tego nie potrzebują. Na kilo owocu bierze się dwa kilo cukru i cztery szklanki wody. Do wrzącego syropu wkłada się owoce, daje się dobrze rozgrzać na wolnym ogniu, wylewa się do wazy i odstawia na dwadzieścia cztery godziny. Nazajutrz wylewa się je znów do miedniczki, ponownie rozgrzewa mocno i znów na 24 godzin odstawia. Trzeciego dnia smaży się je, zawsze na bardzo wolnym ogniu, jak zwykle na konfitury. Gdy przezroczyste, daje się zastygnąć, przekłada na durszlak, starannie odcedzi i suche składa do słoików. Ulep się raz jeszcze zagotowuje, do gorącego wlewa się na każdy litr ulepu litr najlepszego, oczyszczonego spirytusu i wsypuje kawianą łyżeczkę kwasu (soli cytrynowej) — tę ostatnią dla sklarowania płynu. Odstawia się syrop zaraz od ognia, studzi doskonale i zalewa nim ułożone w słojach owoce. Po kilku godzinach przykrywa się słoje krążkami pergaminu i zawiązuje mokrym pęcherzem. To ostatnie ze względu na to, żeby syrop nie tracił mocy, i nie wysychał przez dostęp powietrza.

Pani Elżbieta.



## Korespondencje działu praktycznego

Pani S. F. Ostrów.

Imiona, jak Danuta, Grażyna, nie figurują w kalendarzach, ani rzymsko-katolickim, ani słowiańskim. Osoby, pragnące używać tych imion, obchodzą zwykle imieniny w dzień patronki, której imię zostało nadane im na Chrście Św., a które mylnie, jako drugie uważają. Znałam Danutę, która według słowiańskiego kalendarza jakoby obchodziła imieniny 19 listopada. Jest to jednak bezpodstawne, gdyż w dniu tym takiego imienia w słowiańskim kalendarzu niema. Najlepiej obchodzić albo urodziny, albo tak, jak powyżej wspominałem, imieniny.

Pani M. S. Prostyń.

Żądany przez Sz. Panią przepis na babki śmietankowe załączam: ½ kila masła śmietankowego rozetrzeć na pianę, dodając po łyżce ¼ kila cukru pudru, ½ litra najpiękniejszej mąki i 2

całe jaja. Zagnieść ciasto, wyrobić i wylepić niem specjalne blaszane foremki w kształcie karbowanych babek. Ubić do białości 2 żółtka i 10 deka mialkiego cukru i pół laski wanilji. Skoro dobrze ubite rozebrać pół szklanką gęstej surowej śmietanki, dodać kilka gorzkich migdałów utartych na masę, a postawiwszy na małym ogniu, mieszać ciągle aż zgęstnieje, bacząc, by się nie zagotowało, bo się zwarzy. Gdy zupełnie gęste, odstawić, ostudzić i nakładać zimny krem do wylepionych ciastem foremek, przykryć ciastem, pozlepić brzegi i wstawić do gorącego pieca na ½ godziny. Wyjąć z foremek dopiero po zupełnym ostygnięciu — inaczej będą miały zakalec.

Dla Pani H. H. Mikaszewicz.

Obszerne dzieło z dziedziny, o którą Sz. Pani pyta, jest „Pełczara“, wydanie przedwojenne, częścią wyczerpane, ale w niektórych miejscach można jeszcze dostać. Pozatem jest broszura bardzo przystępna „Grabowskiego“ 1 zł. 50 gr. na składzie u Gebethnera i Wolffa — Warszawa, ul. Sienkiewicza 9.

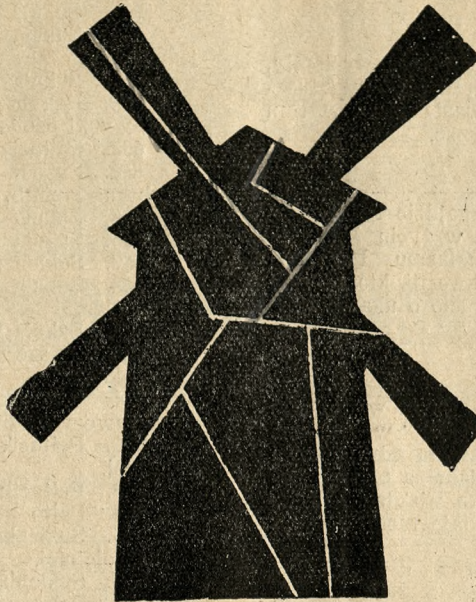
ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z DRUGIEGO KONKURSU „BLUSZCZU”

№ 1.



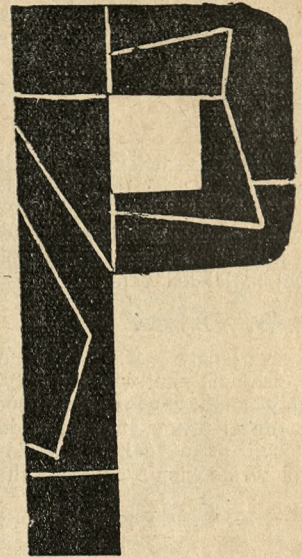
№ 4.

№ 2.



№ 5

№ 3.



№ 6.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10		
1	o	r		t	r	a	b		k	a	
2	p	i	j	e		n	o	m	r	a	
3		m	a	r	a	n	h	a	o		
4	d	a	r		e	a	r	y	k		
5	a	p	o	r	t		t	y	a		
6	m		s	i		c	o	e	l	o	n
7	a	i	e		b	e	a	p	t		
8		k	a	r	o	l	i	n	a		
9	k	a	w	o	n		o	d	r	a	
10	a	z		k	a	r	s		y	t	

№ 7.  
Żyrafa

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	
1	k	a	r	s			m	o	s	t
2	a		p	a	k	a			r	
3	r	o	m	a		a	t	e	n	y
4	o	k	a		o	n		m	e	b
5		o	m		t	a		f	o	
6		c	o		o	d		a	e	
7	f	i	n		k	a		z	o	
8	a	m	a	r	a		i	a	g	a
9	l		a	r	k	a			z	
10	a	r	a	k			k	a	w	a

№ 8.  
Kartagina

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	
1	p	o	r	t	u	g	a	l	i	a
2	i	k	a	r		n	o	ż	e	
3	e	n		u	e	a		b	e	
4	l	o	n	d	y	ń	c	z	y	k
5	g		y	s		a		s		
6	r		e		e	m		a		
7	z	i	m	e	r	m	a	n	n	
8	y	w		o	e	g	a		a	d
9	m	a	r	s		r	e	g	e	
10	i	n	s	t	r	u	k	t	o	r

№ 9.  
Parasolka

Rozwiązanie zadań nadesłane przez p. J. Miarkowską z Nadbrzezia

Z powodu strajku pracowników drukarskich i opóźnienia paru numerów „Bluszczu” rozstrzygnięcie konkursu podajemy dopiero w numerze niniejszym

Ponieważ jednokową ilość punktów uzyskało 12 osób, nagrody zostały rozdzielone zapomocą losowania 1 nagrodę — wyzłmaczkę — otrzymuje



p. Miarkowska z Nadbrzezia. 2 nagrodę — serwis do owoców — p. M. Jordanowa, z Horodniec. 3 nagrodę — kwartalną prenumeratę Bluszczu — p. J. Strzelecka, z Sosnowca.

Osoby wygrywające są proszone o wskazanie dokładnego adresu, pod którym nagrody mają być wysłane.

## Korespondencja działu praktycznego

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI,

*Emerytka.*

Wobec tego, że po złuszczeniu twarzy plamy wystąpiły, należy się zwrócić do lekarza chorób wewnętrznych. Jak słusznie Pani zaobserwowała, przyczyną powstawania plam w tym wypadku musi być jakaś wewnętrzna dolegliwość.

*Groinona.*

Na kwestje, związane z małżeństwem, znajdzie Pani odpowiedź w książce mojej: „Piękność i zdrowie w życiu kobiety”. Poświęciłam w niej dwa rozdziały życiu seksualnemu. Poza tem opracowuję obecnie specjalne porady w danej kwestji, która Panią tak słusznie interesuje. Zawiadomię Panią osobno o ukazaniu się tej nowej mojej książki.

*Z. W. z Brześć.*

Wyczerpujące wskazówki o pielęgnacji włosów, w ogólnym zarysie, znajdzie pani w moim artykule: „O włosach” w *Bluszczu*. Wyników analizy włosów nie podaje w *Bluszczu*, gdyż takowa wymaga dużej pracy, kwestje podobne załatwiam za pomocą korespondencji prywatnej, która się uważa, jako wizyta lekarska.

Na wzmocnienie dziecięcych włosów podaję receptę:

T-ra Jaborandi  
Rosmarini  
Chinini comp. aa 10,0  
ol. ricini 20,0.

Lecon. wcierać w główkę 6 tygodni.

*Zropaczona.*

Z opisu Pani cierpienie Jej bardzo jest skomplikowanej natury i bez zobaczenia poradzić nic skutecznie nie można.

*Halszka.*

Na gesią skórę na całym ciele stosować należy częste kąpiele z dodatkiem soli aromatycznych Karpińskiego lub boraksu „Eunice”. Zamiast mydła używać spirytusu mydlanego lub Sapopixu Karpińskiego, szorować ciało ostrą szczoteczka, następnie wcierać „Mój krem”. Przy zadawnionych objawach maść

Resorcini 0,6  
Ac. Salicyl. 0,6  
Pasta Zinci sulf. 20,0.

Wcierać na noc przez okres 5 — 10 dni. W tym czasie nie wolno się kąpać. Wrazie zadrażnienia skóry po maści, używać „Mój Krem”.

Co do owych gruczołów, to bez zobaczenia nie można nic zdecydować, ale mam wrażenie, że djałnoza lekarza, który Panią badał, jest trafna.

*L. S. Wilejka.*

Po zbadaniu całego organizmu, włosy i skóry na głowie, można dopiero zdecydować, jaka jest przyczyna choroby włosów i skuteczną dać radę. Ogólne wskazówki znajdzie Pani w moim artykule o „pielęgnacji włosów”.

Rozjaśnić włosy można, stosując stale mycie w rumianku, z dodatkiem wody utlenionej — łyżka na miednicę wody, nigdy więcej, gdyż woda utleniona, użyta w większej ilości, niszczy włosy. Podaję sposób mycia włosów: 2 żółtka, 1 łyżeczka boraksu, 1 łyżeczka salsmiaku, 100 gr. spirytusu mydlanego i ½ litra wody przegotowanej.

W tym płynie zamoczyć włosy i, zrobić pianę na głowie, a po 5-ciu minutach spłókać włosy w kilku wodach, dodając do ostatniej ¼ szklanki octu owocowego.

Na pytanie, zawarte w kartce, wyjaśniam, że sposób użycia „Mego kremu” jest podany w opakowaniu.

*A. Z. Powiat Częstochowski.*

Wobec olbrzymiego zapotrzebowania zabrakło „Piegolini”; musi więc Pani poczekać do nowego ogłoszenia.

*Jedna z czytelniczek.*

Zamawiać „Mój Krem” i puder można bezpośrednio u d-ra J. Świtalskiej, Krucza 31. Proszę o podanie dokładnego adresu.

Dr. J. Świtalska.

## Opis sukien i robót do № 29 i 30.

647. Suknia z surowego jedwabiu przybrana haftem.  
648. Suknia z woalu koloru parme przybrana guziczkami.  
649. Suknia z kasha koloru bois de rose.  
650. Suknia wełniana wyszyta w kratę ciemniejszym jedwabiem.  
651. Suknia granatowa wełniana, przybrana guzikami.  
652. Paltocik z sukna piaskowego przybrany haftem dla dziewczynki ośmioletniej.  
653. Paltocik z kasha w kratę dla dziewczynki siedmioletniej.  
654. Suknia wieczorowa z crêpe de chine'u różowego, przybrana gipiurą.  
655. Suknia z czarnej tafty, falbaną z georgette'y.  
656. Suknia z fularu desenioowego i gładkiego.  
657. Suknia z tafty rezedowej, przybrana haftem.  
658. Suknia z crêpe marocain brązowego — krawat i pasek ciemniejsze.  
659. Suknia z kasha piaskowego, przybrana haftem.  
660. Płaszczek z wełny gładkiej i w kratę dla dziewczynki siedmioletniej.  
661. Paltocik z wełny w kratę, przybrany gładkim sukmem dla dziewczynki dwunastoletniej.  
662. Paltocik z kasha granatowego dla dziewczynki sześciolatniej.  
663. Paltocik sukienny dla dziewczynki siedmioletniej.  
664. Palto z kasha w prążki dla paniąki czternastoletniej.  
665. Sukienka na ulicę z wełny w kratę dla dziewczynki dwunastoletniej.  
666. Sukienka z popeliny ponsowej, przybrana mereżką.  
667. Palto z sukna ciemno-zielonego, przybrane haftem dla dorastającej paniąki.  
668. Wzór do wyhaftowania na szalu — kolorowym jedwabiem i złotem.  
669. Dwa wzory na bieliznę, haft i mereżka z motywami filet.  
670. Serwetka na koszyczek do ciasta haft angielski.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:  
palto, lub suknia fantazyjna . . . . . zł. 3,50  
suknia zwyczajna . . . . . „ 2,50  
bluzka . . . . . „ 2,00  
formy dziecinne . . . . . „ 2,00  
bielizna . . . . . „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „*Bluszczu*” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „*Bluszczu*”, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.